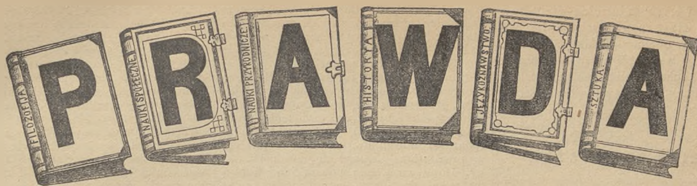
Nr. 7. Warszawa, dnia 14 (2) Lutego 1891 r. Rok XI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Inny numer.— Tydzień polityczny. — *Odcinek*: Pan Hilary, p. W. Dal. (ciąg dalszy). — *Badania naukowe*: Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Etyka ewolucyjna, p. Ladawę. — Achilles Loria, I. Ustrój polityczny a ekonomiczny, p. Lud. Krz. — *Literatura i sztuka:* Literatura polska. Marya Konopnicka. Moi znajomi, p. F. B. — Śród muz, II, p. Cezarego Jelentę. — *Życie społeczne*: Sądownictwo w Galicyi, III, p. Beta.—Hygiena społeczna, p. N.— Z Poznańskiego, p. t. z. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

INNY NUMER.

Wieść twierdzi, że Dunajewski najenergiczniej zalecał rozwiązanie wiedeńskiej Rady państwa. Ponieważ prawdopodobnie nie myślał o podważeniu tym środkiem swego stanowiska, zatem między jego dymisyą a tym faktem musiało coś zajść, co wyparło ministra skarbu i uczyniło go zbytecznym lub niemożliwym. Co? Nie wiemy. Wnosimy natomiast z usunięcia go, że ten pierwiastek, który w nim był widomy, stał się dla rządu niewygodnym, dla całego położenia politycznego kłopotliwym. Chociaż ostatni akt odegrał się za kurtyną, można bez trudu odgadnąć racye końcowej, widzialnej jego sceny, w której Dunajewski złożył tekę ministra skarbu. Był on najskrajniejszym przedstawicielem prawicy, tj. dążeń konserwatywnych i autonomicznych, a jednocześnie gromicielem niemców. Dopóki to stronnictwo, a raczej zlepek stronnictw stanowił dla rządu oparcie szerokie i mocne, ludzie, którzy w tej podstawie tworzyli spajające ją klamry, byli pożądani, a nawet niezbędni. Ale powoli zaczęła ona wychodzić ze swych spojeń, chwiać się i kruszyć. Zwłaszcza ultramontanie, wzorem kur, posiadających wysoką grzędę, zapragnęli wyższej, zażądali opanowania najważniejszej instytucyi społecznej — szkoły. Rząd, opierając się tym roszczeniom, widział niebezpieczeństwo chwiejnego sojuszu z żywiołami wstecznymi i możliwość znalezienia się wobec przewagi tych, z którymi walczył.

Pod tę walącą się budowę zmiennej i niezliczonej większości podłożyli minę młodoczesi. Wpływ ich w kraju z każdym dniem wzrastał tak groźnie, że niepodobna było przewidzieć, czy z przyszłych wyborów wyjdą najznakomitsi przywódcy staro-czechów. Już nietylko szczury uciekły z ich tonącego okrętu, ale wyskakiwali zeń jego sternicy i niewiele brakowało, ażeby na pokładzie statku pozostał sam jego kapitan— Rieger. Ta ginąca załoga musiała naturalnie kiedyś zrobić znaczną szczerbę w prawicy, do której należała i która tym sposobem dałaby rządowi mniejsze oparcie. Wobec tej logiki rzeczy, skoro w łonie większości żywioły klerykalne zaczęły odchylać się w kierunku skrajnym, skoro młodoczesi grozili wyparciem starych, hr. Taaffe musiał pomyśleć o wytworzeniu sobie nowej podstawy parlamentarnej przez zmianę jej podwalin. Rozwiązawszy Radę państwa, w objaśnieniu tego kroku zaznaczył wyraźnie, że rząd z nowych wyborów pragnie otrzymać większość umiarkowaną, to znaczy, niepociągającą go wstecz, jak ultramontanie, nieburzącą jego budowy, jak młodo-czesi, ani też — rozumie się — niewywołującą wrzeń i walk, jak antisemici, socyaliści itd. W życzeniu tem tkwiła nie tyle myśl oddziałania na wyborców, ile zamiar zgody z tym odłamem lewicy niemieckiej, który jest *regierungsfähig* i gotów podtrzymywać hr. Taaffego. Miejsce zatem zbyt drapieżnych klerykałów i odciętych staro-czechów mają zająć umiarkowanie liberalni niemcy. Ponieważ zaś za warunek sojuszu postawili usunięcie nienawistnego im Dunajewskiego, więc ten kamień obrazy musiał ustąpić.

W państwie, którego przedstawiciele grupują się według jakiejś jednej zasady — politycznej lub społecznej — rząd jest wypadkową stosunków ich siły. Ale w Austryi, gdzie parlament układa się według najrozmaitszych zasad: politycznych, społecznych, ekonomicznych, narodowościowych, religijnych i t. d. — tak jak cała monarchia Habsburgów, może się ona trzymać tylko unią osobową. Jak Franciszek Józef godzi sprzeczności swych ludów, tak hr. Taaffe chce godzić sprzeczności grup parlamentarnych. Rozwiązanie Rady państwa, a nadewszystko usunięcie Dunajewskiego świadczy wymownie o tym osobistym charakterze rządów prezesa gabinetu. Nie czekano nowych wyborów, aby do ich rezultatu zastosować skład ministeryum, ale wprzód zmieniono ministeryum. Naprzód bowiem w prawidłowości tego dziwnego konstytucyonalizmu idzie osoba, hr. Taaffe, który musi pozostać, a potem dopiero Izba — nie naodwrót. Ona bowiem nie rodzi prezesa gabinetu, tylko mu składa oferty, które on wybiera. Dla niego wszystko jedno, jaką otrzyma większość, aby ją miał, gdyż nie jest dowódcą jakiegoś szczególnego pułku, lecz obejmuje komendę nad najliczniejszym. Naturalnie jeżeli ten najliczniejszy będzie miał chorągiew niemiecką i liberalną, a nie słowiańską i konserwatywną, dowódca uzna ją za swój sztandar.

Powołanie lewicy do szeregów rządowych nasuwa prostą wróżbę, że polityka Austryi w najbliższym okresie będzie miała więcej znamion germańskich, a mniej słowiańskich. Możliwość ta jest niemal pewną. Z drugiej wszakże strony nie należy zapominać, że z jakichkolwiek żywiołów hr. Taaffe ułoży sobie większość, stosunek liczebny narodowości pozostanie niezmieniony i wywierać będzie swój wpływ na wewnętrzną politykę monarchii. Żaden Plener lub Chlumecky dziś już nie zgniecie kilkunastu milionów słowian kilkoma milionami niemców. Rozumieją oni to dobrze i dlatego w swym programie wyborczym przemówili językiem daleko bardziej umiarkowanym, niż można się było spodziewać po zuchwałym i butnym tonie ich opozycyi. Piękne dni Aranjuezu dla centralistów i germanizatorów w Austryi bezpowrotnie minęły, a obecny uśmiech Fortuny w osobie hr. Taaffego może im zapewnić tylko czynny współudział w jego nowej próbie wytworzenia związków sztucznych. Kiedyś ks. Bismark, który i dla polityków austryackich bywa często wzorem, oświadczył, że on niema żadnych zasad, żadnego systemu, że większość parlamentarną zszywa z takich kawałków, jakie znajduje pod ręką, a jeżeli nie dokona tego jednym numerem nici, to bierze drugi. Otóż hr. Taaffe nawlókł teraz w swą igłę nić niemieckiego li-

beralizmu i zamierza nią uszyć sobie większość. Uszyje, ale ta łatanina wkrótce się rozpruje, a wtedy znowu trzeba będzie sięgnąć po inny numer — i tak dalej aż do chwili, kiedy wszystkie rwać się zaczną. Obecnej zaś robocie polityczno-krawieckiej przepowiadamy bardzo krótką trwałość.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Włosi mają gabinet ministeryalny. Złożył go im Rudini, który nie należy do przeciwników Crispiego, owszem politykę jego popierał. Jest on nadto zwolennikiem trójprzymierza. Rzecz naturalna, że król, który sam przywiązuje wagę do tego związku, a nowych doradców wybierał sobie niezawodnie pod wpływem dawnych, nie mógł powołać osobistości, nieporęczającej mu prowadzenia w dalszym ciągu tej samej polityki zagranicznej. Zresztą zmiana kierunku w tej dziedzinie była niepotrzebną, skoro Crispi przewalił się nie na sprawach zewnętrznych, ale wewnętrznych, ekonomicznych. W tej sferze Rudini może zejść z drogi swego poprzednika i zaprowadzić gruntowne oszczędności. Ponieważ zaś nie ma się zwykle fanatycznego przywiązania do cudzej roboty, więc zapewne nie będzie on również zagorzałym rzecznikiem troistego sojuszu i pomyśli o złagodzeniu stosunków z Francyą, czego naród coraz wyraźniej się domaga.

Oprócz powołania do wszechwładzy ks. Bismarka, cesarz niemiecki nie może nic takiego zrobić, coby się podobało „pustelnikowi z Friedrichsruh.“ Gromi on też zapomocą swego telefonu hamburskiego monarchę za każdy nowy krok i niemal zalicza go do „Reichsfeindów.“ Gdy na miejsce hr. Waldersee mianowany został hr. Schliffen, Bismark oświadczył w *Hamb. Nachrichten*, że ta zmiana posiada mniej więcej taki charakter, jaki wyraził się w powołaniu Capriviego, mianowicie cesarz pragnie być samodzielnym i dlatego dobiera sobie ludzi pracowitych i rozważnych, ale pozbawionych iskry geniuszu i szerszych widnokręgów. Z tych ciągłych i zuchwałych napaści dymisyonowanego kanclerza łatwo sobie wyobrazić, do czego taki jegomość posunąłby się, gdyby tron w Niemczech był elekcyjnym. Z pewnością nie cofnąłby się przed żadną konfederacyą, przed żadnym buntem, przed strąceniem kraju w odmęt wojny domowej. Jak widać z ostatnich rozpraw sejmowych, liczy on tylu jeszcze wielbicieli, że mógłby pokusić się o zamach stanu, gdyby dynastya Hohenzollernów nie była skałą, o którą rozbijać się muszą fale wściekłych gniewów major-doma.

Bunty wojskowe i robotnicze w Belgii są szeregiem bardzo groźnych dla niej objawów, groźnych o tyle, że zarówno w kierunku politycznym (zaprowadzenie głosowania powszechnego), jak ekonomicznym (poprawa stosunków między kapitałem a pracą) muszą dokonać się poważne zmiany. Dojrzewają one powoli i wywołują wstrząśnienia dlatego, że król nie chce zejść ze swego stanowiska obojętnego i wywrzeć nacisku. Walka więc stronnictw musi toczyć się dopóty, dopóki jej nie zakończy jakieś stanowcze zwycięztwo.

Rokosz wojskowy w Portugalii na razie stłumiono i zabrano się do osądzenia winnych. Ta jednak operacya, chociażby w niej nóż kary najgłębiej sięgnął, nie wytnie z organizmu nowotworu republikańskiego, który rozrósł się w całym narodzie.

W Sofii odkryto podobno spisek na życie ks. Ferdynanda. Dotąd wszakże brak szczegółowych i pewnych wiadomości w tej sprawie, gdyż gazety bułgarskie milczą.

W Atenach wybuchła znowu burza parlamentarna. Gabinet zachwiany, a poprzedni jego prezes ma być stawiony przed sądem za wykrytą samowolę w gospodarstwie finansowem kraju.

Austryacki następca tronu bawi dotychczas w Petersburgu, gdzie doznaje gościnnego przyjęcia i uczestniczy w balach lub rozrywkach dworskich.

Hr. Taaffe, nasyciwszy wilka i pragnąc, ażeby również koza była cała, ma podobno ofiarować tekę ministra komunikacyi prof. Bilińskiemu.

BADANIA NAUKOWE.

LISTY WIEDEŃSKIE

10 lutego.

Poszukiwania archeologiczne hr. Karola Lanckorońskiego w Azyi Mniejszej. („Die Stadte Pamphiliens und Pisidiens“ Wien, Tempsky).

W ubiegłym roku donosiliśmy czytelnikom *Prawdy* o indyjskich i japońskich zbiorach, które hr. Lanckoroński wystawił w wiedeńskiem Muzeum handlowem. Dziś wystąpił ten magnat uczony lub przynajmniej uczący się z dziełem, które streszcza rezultaty kilkuletnich badań archeologicznych we wschodniej części Azyi Mniejszej. Dzieło to, zatytułowane „Miasta Pamfilii i Pizydyi“ wychodzi tu w trzech wydaniach: po niemiecku, po francusku i po polsku. Tom pierwszy, poświęcony Pamfilii, zawiera dwie karty geograficzne, plany kolorowane, 34 miedziorytów i 114 ilustracyj w tekście; format skromniejszy, aniżeli w innych wydawnictwach archeologicznych, lecz wydanie artystyczne. Fakultet filozoficzny wszechnicy berlińskiej udzielił hr. Lanckorońskiemu za tę pracę doktorat *honoris causa*. A przyznać trzeba, że autor nie wziął się do rzeczy jak dyletant, lecz jako człowiek dobrze obeznany ze stanem odnośnych badań.

Podczas gdy w Grecyi archeologia zaczęła kopać jeszcze w ubiegłem stuleciu, obszary Azyi Mniejszej pozostały nietknięte niemal do połowy naszego stulecia. Ch. Fellows ogłasza „A journal written during an excursion in Asia minor“ w r. 1839, „An account of discoveries in Lycia“ w r. 1841; Texier wydaje w r. 1849 „Description de l'Asie mineure,“ Sprall i Forbes w r. 1847 „Travels in Lycia.“ Schliemann wykonał swe poszukiwania dopiero w drugiej połowie stulecia, a bogactwo ich wyników zwróciło uwagę uczonych i przyjaciół archeologii na doniosłość badań w tych właśnie okolicach. Ku nim tedy skierowała się też grupa archeologów, która przed ośmiu laty w Wiedniu podjęła się gruntownej pracy tego rodzaju. Wiedeński profesor, Rudolf Eitelberger i Aleksander Warnsberg założyli wówczas „Austryackie towarzystwo dla zbadania Azyi Mniejszej“; hr. Edmund Zichy i Mikołaj Dumba stali na czele tej instytucyi, a hr. Karol Lanckoroński należał do najgorliwszych jej członków. Atoli Eitelberger i Warnsberg zmarli, a Towarzystwo archeologiczne coraz bardziej ograniczać musiało zakres swego działania. Na południowym zachodzie Azyi Mniejszej do niedawna kopał Schliemann, rząd niemiecki wysłał był wyprawę w okolice Pergamu, komisye austryackie pracowały na południu, w Licyi. Hr. Lanckoroński rozpoczął pracę tam, gdzie nauka stanęła, wziął się do zbadania wschodniej części Azyi Mniejszej.

Po raz pierwszy przybył on do Pamfilii w jesieni 1882 r. Ujęty romantyczną pięknością Adalii, miasta portowego, zapuścił się w głąb kraju i przekonał się niebawem, że w pobliżu, w okręgu kilku mil zaledwie, obfite miny czekają ręki archeologa. Postanowił tedy zorganizować wyprawę i wrócić

---

3)

Pan Hilary.

Oczywiście przy takich myślach zasnąć było trudno. Mimo usiłowań zły humor nie dał mu się rozmarzyć i przejść w stan choćby drzemki. Po raz więc setny może wyrzucając sobie, że dał się na ów wieczór wyciągnąć, zwlókł się z łóżka i popatrzywszy przez okno na budzącą się ulicę, postanowił orzeźwić się ranną przechadzką. Gdy już zabierał się do wyjścia, oczy jego znów padły na ów pled zapomniany. Sam nie wiedząc dlaczego, zawrócił ode drzwi, aby nań popatrzeć. Niewątpliwie jest to pled kobiecy, nawet delikatna woń przypominała mu jakąś znajomą damę. Ta woń subtelna i to jakieś niby ciepło, trzymające się miękiej tkaniny, robiło na nim dziwne wrażenie. Przypomniał mu się ów czas daleki, kiedy znajdował koło siebie mnóstwo ubrań i sprzętów kobiecych. Przypomniały mu się pieszczone białe ręce matki, otulające go miękim szalikiem, gdy w mrozy biegł do gimnazyum. Zdaje mu się, że czuje teraz delikatne dotknięcie tych rąk do szyi i twarzy. Gdy wracał, biegł prosto do jej pokoju, gdzie oczy jego spotykały wszystkie przybory domowego życia kobiety.

Podobne obrazy, jeden za drugim przemykały mu w myśli. Jakaś rzewność dawnych, zapomnianych lat i gorycz dzisiejsza i smutek piekący owładły nim i kamieniem zaciężyły na sercu.

— A jednak — miłość kobiety, to wiele, to bardzo wiele, to niemal wszystko! Uśmierza bóle, ucisza, równoważy i zapełnia tę pustkę, straszną, zabijającą pustkę. Mieć zawsze kogoś przy sobie, jakąś kochającą i kochaną — to chyba znaczy zawsze być pogodnym i zgodnym ze sobą, przebaczającym i ufnym. Ufnym? Komu? Tym może figurkom cukrowym, których modele poniewierają się za szybami wystaw sklepowych? Medeo moja, wstydziłbym się ciebie, malowanej, gdybym tu takiego żyjącego manekina odważył się wprowadzić!

Odszedł teraz prędko i nasunąwszy kapelusz na oczy, drzwi zatrzasnął za sobą.

Jak długo wlókł się po ulicach, półsenny i zmęczony, nie potrafiłby powiedzieć, bo nawet nienakręcony zegarek nic mógł go w tem poinformować.

Tymczasem miasto się budziło. Coraz częściej zachodziły mu drogę służące z koszykami w ręku, rozmowne, wesołe, przystające co parę kroków dla pogawędki ze spotkanemi przyjaciółkami. Swobodne, głośne słowa dolatywały go co chwila ze wszech stron. Miał istotną pociechę słyszeć dosadny, w kilku słowach streszczony opis „mojej pani“ lub „mego pana.“

— Chciałbym, aby owe wczorajsze piękności przeszły się tak zrana — powiedział do siebie, uśmiechając się półustami. Oto kiedy można zasięgnąć o naszem towarzystwie najtrafniejszych informacyj. Wyborna instytucya, która za jednem wynagrodzeniem daje nam niańki i sędziów.

Gwar coraz się wzmagał; pojawiały się wozy i wózki; turkot ich i klekot odrzynał się wyraźnie w czystem, chłodnem nieco powietrzu. Gdzieniegdzie otwierały się drzwi sklepików; na progu stawały kupcowe i mrużąc oczy przed jaskrawem słońcem porannem, oglądały się na obie strony, witały z sąsiadkami i nawoływać zaczynały węglarzy, drwali, mleczarki. Pojawili się chłopcy z dzbankami, kubełkami, miotłami, którzy przeganiali się i wykrzykiwali na całą ulicę.

— Ze wszystkich ssących człowiek bezwarunkowo najhałaśliwszem jest zwierzę-

do Pamfilii. Udało mu się znaleźć dzielnych współpracowników. Jerzy Neumann zajął się zdjęciem form architektonicznych i odtworzeniem gmachów w planach. Eugeniusz Petersen, znany z pracy swej o Fidyaszu, podjął się opracowania źródeł literackich; jako lekarz i antropolog przyłączył się Dr. Luschan, kustosz berlińskiego muzeum etnologicznego. Towarzyszyli im prof. Wilhelm Kartel i prof. Maryan Sokołowski z Krakowa, malarz Malczewski, rysownik dla zdjęć geograficznych, fotograf itd. Z poważnym tym sztabem uczonych i artystów wrócił hr. Lanckoroński do Pamfilii w r. 1884. Dzięki usiłowaniom ambasadora austryackiego w Konstantynopolu, udało mu się rozpocząć pracę. Mimo iż z góry zrzygnowano z wykopalisk i z nabywania antyków, zdejmując tylko to, co znajdowano na powierzchni ziemi, nie obyło się bez zatargów z władzami miejscowemi; dopiero kiedy hr. Lanckoroński udał się do Vali Saidpaszy w Koni, człowieka światlejszego, pozwolono wyprawie pracować spokojnie.

Wyjeżdżano dwukrotnie; miano wyprawić się po raz trzeci, lecz architekt Niemann zaniemógł, a był główną podporą techniczną ekspedycyi. Skreślił też pierwsze objaśnienia do rysunków swych, obszerniejsze zaś komentarze archeologiczne są pióra Petersena, który korzysta z monet, napisów i źródeł starożytnych. Główne wyniki badań zaś streszcza hr. Lanckoroński we wstępie, zawierającym też opis i historyę kraju.

Płaszczyzna pamfilijska dokoła otoczona jest pasmem gór. Mieści ona gruzy pięciu miast starożytnych: Attalii, Sidy, Perge, Sillionu i Aspendosu. Jest to okolica dziś prawie bezludna i jedyne jej miasto, Adalię, zamieszkują przeważnie nowogrecy. Niegdyś grecy starożytni zaludnili tę okolicę; o dziejach ich wiemy tylko, że cieszyli się dobrobytem jako gospodarze i kupcy. Bliższe o nich wiadomości napotykamy dopiero w czasach władztwa rzymskiego. Wówczas kwitnęła tam cywilizacya i zamożność. Okazałe gruzy, które hr. Lanckoroński zbadał i odrestaurował w rysunku, potwierdzają słowa Mommsena, że do któregokolwiek kąta Azyi Mniejszej zajrzymy, wszędzie doznamy przerażenia, porównywając nędzę czasów dzisiejszych z świetnością cywilizacyi, która przed półtora tysiącami lat rozwinęła się tu pod panowaniem rzymskiem.

Obrazy miast odkrytych przez hr. Lanckorońskiego zgadzają się w rysach głównych. Wszędzie jako ośrodek siedliska występuje wzgórze, dźwigające świątynię, zdobną kolumnami. Dokoła miasta ciągną się mury, sterczące wieżyczkami. Od każdej z bram głównych ciągnęły się ogrody zielone, aleje nagrobków, kolumn, wielkich sarkofagów, mauzoleów, aż ku jednej z ulic głównych, przecinających miasto na krzyż. Po obu stronach ulic głównych stały cieniste portyki, w których głębi mieściły się bazary. Środkiem ulicy biegł kanał kamienny, jako łożysko czystego strumienia. Na rynku wznoszono łuk tryumfalny na cześć jednego z cesarzów rzymskich, dokoła stawiano pomniki, często wyzłacane. Tam też stało horologium, w którem mieścił się zegar wodny. Dokoła w pięknych budynkach umieszczano archiwa gminne, urzędy municypalne itp. W pobliżu rynku stała bazylika, imponująca rozmiarami; w niej namiestnik przewodniczył sądom w imieniu cesarza. Dalej szły łazienki, palestry, gimnazya, jeszcze dalej hipodromy i teatry olbrzymie. A poza mury miasta wypływały wodociągi. Takim jest obraz starożytnych miast Azyi Mniejszej.

Stwosz.

ETYKA EWOLUCYJNA.

Do rzędu filozofów, którzy w teoryi Darwina upatrują nie grób wszelkiej moralności, ale owszem podstawę nowego jej rozwoju, należy B. Carneri, znany profesor i polityk wiedeński. Już w 1877 r. zajął on to stanowisko w dziele „Sittlichkeit und Darwinismus,“ pozostał mu wiernym w pracach następnych. „Grundlegung der Ethik“ (1881) i „Entwickelung und Glückseligkeit“ (1886); z tego stanowiska rozwija swe myśli o kierunku życiowym nowoczesnego człowieka w najnowszej książce „Der moderne Mensch“ *). Praca ta nie zawiera bynajmniej systemu etyki ewolucyjnej. Autor pragnie wykazać, na czem polegać winien indywidualizm etycznie uprawniony według pojmowania ewolucyjnego. Indywidualizm, występujący dziś w życiu prywatnem i publicznem, jest wypaczonym, niezdrowym moralnie, szlachetny zaś cechować będzie zawsze człowieka doskonałego. Taki indywidualizm osiągnąć można jedynie drogą wychowania. Jednostka przebyć powinna tę samą kolej, po której ludzkość doszła do pojęcia prawdziwej moralności **): popędy samolubne powinny znaleźć zaspokojenie w czynach, obejmujących cały gatunek. Wychowanie powinno wyjaśnić, czego ludzkość doświadczyła w tysiącoletniem swem życiu, iż wady charakteru są przeszkodami w osiągnięciu szczęścia indywidualnego i że to pojęcie wymaga od człowieka poprawy ich. Moralność ewolucyjna, usuwając z przed oczu ideał nadludzkiej doskonałości, dodaje siły i chęci do pracy nad sobą samym; uczy bowiem, iż ten jest moralnym, kto swe wrodzone wady sobie uświadamia i do udoskonalenia się dąży. Zabrania ona bezczynnego, rozpaczliwego żalu, a poleca pokutę czynną, usuwanie skutków zła wyrządzonego. Etyka ewolucyjna, jaką wysnuwa Carneri, godzi się w punktach zasadniczych z etyką Spinozy. Wraz z tym ostatnim żąda on pogody ducha jako podstawy prawdziwej moralności. Ona jedynie umożliwia znoszenie ciosów nieuniknionych; w miejsce łez i litości, stawia pomoc czynną, w miejsce bojaźni przed karą — dobrą wolę. Determinizm, który stanowi istotną jej część, bynajmniej nie powinien być opłakiwanym, jak to czynią ludzie bezmyślni. Nauka etyki chrześciańskiej traci wszelkie znaczenie praktyczne bez zrozumienia determinizmu. Przepis, aby przebaczać nieprzyjaciołom, wymaga czegoś niemożliwego, jeżeli wierzymy w wolność woli. Skoro nieprzyjaciel jest bezwzględnie odpowiedzialnym za swe czyny, zasługuje na pogardę i nienawiść, tem bardziej, że etyka chrześciańska tym, którzy nie żałują za grzechy, po śmierci jeszcze grozi karami strasznemi. Jakżeż ułomny człowiek przebaczać ma tym, którzy go gnębili? Uczynić on to może jedynie, pojąwszy, że wadliwość natury ludzkiej była powodem krzywdy mu wyrządzonej i że w podobnych warunkach on sam podobnie by postąpił, gdyby posiadał naturę nieprzyjaciela.

Carneri odróżnia ściśle moralność od etyki. Różnica pojęć tych występuje na przykładzie celibatu. Nikt nieuprzedzony nie uzna celibatu za rzecz etyczną, lecz z drugiej strony nie nazwie go niemoralnym, zrozumiawszy pobudki, z jakich wynika. Moralność, według Carneriego, to etyka w ściślejszem znaczeniu, praktyczne stosowanie się do cnót i obowiązków, uznawanych przez pewną grupę ludzkości. To, że formy moralności różne są w różnych czasach i różnych miejscach, sprawia, iż moralność jest chwiejną i historycznie jedynie pojmowaną być powinna. Etyka przeciwnie uzasadnić się daje naukowo; stanowi ona zestawienie ostatnich wyników wszy-

*) Bonn, 1891, E. Strauss.

**) Frazes równie często powtarzany, jak bezzasadny. *Red.*

---

ciem, chyba małpa jeszcze... — pomyślał pan Hilary i skręcił w ulicę, prowadzącą za miasto. Wkrótce od zielonych pól i wolnych przestrzeni zawiały go świeże powiewy poranku i wiosny. Drogą, rozpękającemi drzewami sadzoną, doszedł do bramy zamiejskiego parku. Otwarta furtka zdawała się zapraszać.

Wszedł. Ogarnęła go cisza i zawieszone w niej aromaty kwitnących drzew. Masy zieloności podnosiły się grupami, ściany alei zdawały się wydłużać i iść ku niemu. Powiódł wzrokiem dokoła, tu i owdzie z rozkoszą go zatrzymując. Czuł, jak martwa natura uśmiecha się do niego, jak ta wielka harmonia i ten wielki przepych przyrody przemawia do niego kojąco i rozsądnie. Czoło mu się wypogodziło i oczy nabierały spokojnego blasku. Twarz mizerna i mocno rylcem wrażeń rzeźbiona wyglądała się niejako, a otoczona długimi, gdzieniegdzie już usrebrzonymi włosami przyjmowała wyraz tęsknego marzyciela. Było to oblicze piękne, ściśle teraźniejszego typu: głęboka myśl, uczuciowość, wysubtelnione nerwy obok odrobiny marzycielstwa stawiały je na przeciwległym krańcu spokojnego piękna starożytnych. Pod olbrzymimi konarami alei przechodził z odsłoniętą głową, myślący i zamarzony, jakby w światach swej duszy zatonął. Zatrzymał się wreszcie nad brzegiem sadzawki i zasunął w cień na ławkę pod nawisłe gałęzie osypanej białym kwiatem akacyi. Przed nim rozpostarła się wielka szyba wody z nadbrzeżnemi wierzbami, gąszczami, sitowiem; łabędzie po niej z podjętemi jak żagle skrzydłami, pojękując z cicha, pływały. Na lewo, jakby z wód wyrosły, na tle ciemnej zieleni wznosił się lekki i wdzięczny pałacyk. Ponad kolumnadą portyku białe, greckie boginie wysmukłą postacią odcinały się na czystych błękitach powietrza.

Pan Hilary zapatrzył się i pomyślał sobie, że gdziekolwiek przejawia się myśl człowieka wzniosła lub piękna, nietylko nie sprawia rozdźwięku w ogólnej harmonii przyrody, ale owszem jest niby tą jej nutą czułą, która w jednem brzmieniu spromienia tony wszystkie, przerastając je głębokością wibracyi i wysokością polotu. Gdyby tak zostać mogło — natura i dzieła myśli człowieczej, wielkiej lub pięknej! Gdyby nie było nic z tego świata pigmejów, co z niezłomnością żywiołu idzie naprzód, zalewa, zdobywa i ujarzmia wszystko! Jak wtedy zmęczony umysł odpocząć by mógł i wygładzić się z bolesnych bruzd, które dłoń bliźnich tak niezmęczenie a głęboko wyrzeźbiać umie! Są dusze o tak czułej — rzekłoby się — powłoce, że każde drgnienie tego bezwzględnego rylca znaczy się na nich pieczęcią. Przypomniał sobie, jak przed paru laty próbował wycofać się z tego codziennego świata. W jednej z letnich wycieczek natrafił na klasztor w pięknej okolicy za miastem położony. Myślał, że tam nareszcie znajdzie odpowiednie dla siebie zacisze; po paru tygodniach jednak zbiegł stamtąd o wiele prędzej, niż wchedził i długo jak halucynacye błąkało się mu po mózgu wszystko, co tam widział i słyszał. Więc biedz na pustynię? Martwy świat przyrody nie chwilą wypoczynku, ale wiecznością grobu rozpostrzeć nad sobą? Spojrzał na wdzięczne kontury wybiegającego ku górze pałacu, na łuki mostków widniejące w oddali, na pełne wysokiego artyzmu grupy rzeźb, ustawione na tarasie — i poczuł, że z dziełami rąk ludzkich rozstać się zbyt trudno.

— Piękno i myśl wzniosła — to najmilsze. Tu naprzykład, czyż nie świątynia, gdzie wpośród ram pięknej przyrody sztuka ołtarz swój postawiła? Można tu siedzieć i milczeć — słów próżnych nie trzeba — a myśl skrzydeł dostaje i leci ku górze, i dobrze jest, miło i spokojnie. Nic tu małego, nic wykrzywionego, nic fałszywego;

stkich nauk filozoficznych w zastosowaniu do życia praktycznego i obejmuje cały wyższy rozwój cywilizacyjny. Ramy jej znacznie są szersze, aniżeli ramy moralności, zawiera ona bowiem nie to tylko, co dobre, ale prawdę i piękno *).

Wspomnieliśmy już, że Carneri wychowanie uczynić pragnie powtórzeniem rozwoju ludzkości. Wiara, jako pierwotna forma wiedzy, właściwą była człowiekowi, zanim doszedł do wyższej kultury. Podobnie dziecko musi wierzyć, póki nie jest zdolne do pojęcia wiedzy. W szkołach ludowych tedy, według autora, zachowaną być winna nauka religii, lecz wykładać ją powinni urzędnicy państwa w duchu moralności. Inna sprawa ze szkołami średniemi, a zwłaszcza z wyższemi ich klasami. „Głównym warunkiem prawdziwego wykształcenia — twierdzi Carneri — jest należyte wykształcenie myślenia. Tymczasem mieszamy najgłówniejsze pojęcia młodzieży, podkopujemy podstawę jej poglądu na świat i na życie. Mity stawiamy wyżej, aniżeli najcenniejsze zdobycze nauk przyrodniczych, a w historyi kościelnej fałszujemy fakty dziejowe. Co zaś wyniknie, jeżeli kogoś uczą, że ta sama rzecz jest czarną i białą, że ten sam człowiek jest szlachetnym i nikczemnym? Kto się podda nauce, zostanie ogłupiony; dla tego, który się jej nie podda i otwarcie stanie po stronie prawdy — nie zdobędzie stanowiska i zarobku. Jedynie bezmyślność, z jaką znosimy stany od dawna istniejące, nie badając ich wcale, tłomaczy nam, iż wszyscy ludzie rozumni nie powstali jeszcze przeciw tak nierozumnym urządzeniom. Młodzieniec zdawać musi egzamin z nauk znoszących się wzajemnie, a celującym uczniem jest ten tylko, który nauki dyamentalnie przeciwne równie dobrze umie wygłaszać. Jest to tak dzikiem i potwornem, że państwu nie pozostaje środek inny, prócz obierania takich książek szkolnych, które prawdę naukową osłabiają, skutkiem czego ono mija się ze swym obowiązkiem.“

Carneri domaga się stanowczo, aby dorosłego młodzieńca zapoznawano z etyką naukową. Punktem wyjścia jest dlań pragnienie szczęścia, wrodzone każdemu człowiekowi, niedające się usunąć żadnymi nakazami kategorycznymi. Pragnienie szczęścia, to uszlachetniona forma popędu samozachowawczego. Szczęście polega na swobodnym rozwoju indywidualności, poręczonym jedynie przez państwo, tj. przez dobrowolne ograniczenie się ludzkości. Wśród granic, stworzonych przez społeczeństwo, człowiek dochodzi do prawdziwego szczęścia jedynie przez moralność, która nietylko czyni go zdolnym do najszlachetniejszego używania życia, ale jedna świat z nim, a jego z życiem. Dla człowieka, dążącego do prawdziwego szczęścia, cnota staje się drugą naturą, a krzewiąc szczęście prawdziwe, krzewimy zarazem cnotę.

Ladawa.

*) Carneri nie zdaje sobie jasno sprawy ani z nazw, ani z rzeczy. Moralność bowiem jest systemem reguł praktycznych, a etyka nauką teoretyczną o tych systemach. *Red.*

ACHILES LORIA.

I. Ustrój polityczny a ekonomiczny.

W ostatnich czasach wypłynęło w nauce ekonomicznej nazwisko włocha Achilesa Loria, głównie dzięki ukazaniu się olbrzymiego dwutomowego dzieła *Rozbiór własności kapitalistycznej* *), która zwróciła powszechną uwagę na autora w kołach socyalistów. Bezwarunkowo trzeba przyznać badaczowi włoskiemu już dzisiaj jedno z pierwszych miejsc w bieżącej literaturze. Z tego powodu chcielibyśmy zaznajomić czytelników *Prawdy* z jego poglądami — chociażby w rysach najogólniejszych. Poprzednio jednak zauważymy, że, o ile wolno sądzić z dat na książkach oraz z luźnych wzmianek, Loria jest jeszcze człowiekiem młodym. Pierwsza bowiem jego większa praca — rozprawa uniwersytecka — wyszła dopiero w 1886. Tytuł: *Teorya ekonomiczna ustroju politycznego* **) wyraża nie tylko zawartość, lecz i stanowisko autora. Zresztą prócz tej pracy oraz *Rozbioru własności kapitalistycznej* wydał on ogółem zaledwie kilka pomniejszych rozpraw teoretycznych z zakresu ekonomiki.

Chcąc przedstawić poglądy i wywody Achilesa Loria, musimy rozpocząć od jego teoryi zależności pomiędzy ustrojami ekonomicznym a politycznym. Winniśmy zauważyć, że zapatrywania jego w tym przedmiocie, nie są czemś zupełnie nowem. Gdyby chodziło o ich przeszłość, możnaby ułożyć bardzo długą listę poprzedników. Już w r. 1616 anglik Harrington usiłował dowieść, że ład polityczny jest jedynie odbiciem się stosunków ekonomicznych. W dalszym ciągu idea ta była wciąż wypowiadaną w pracach pisarzów społecznych wieku XVIII-go. „Weźmy samotną wyspę, posiadającą dziesięć tysięcy mieszkańców, i przypuśćmy, że ziemia należy do tysiąca. Rząd z konieczności będzie arystokratyczny“ — mówi jeden autor z tej epoki. Lecz to mniemanie ukazuje się w całem ubiegłem stuleciu przypadkowo, wymyka się autorom raczej nieświadomie, niż jest owocem świadomie zdobytego przekonania. Dopiero S. Simon, później teoretycy z 1848, wreszcie Engels i Marx wypowiadają je z całą świadomością, jako zasadnicze twierdzenie o dotychczasowych dziejach człowieka.

Przejdźmy jednakże do samej rzeczy.

Dzieje ludzkości rozpadają się na dwie wyraźnie odgraniczone od siebie epoki: pierwszą, kiedy ziemia była jeszcze własnością zbiorową plemieńców, i późniejszą, kiedy została przywłaszczona przez pojedyńczych członków społeczeństwa. Weźmy markę niemiecką, jako wzór z pierwszego okresu. Zupełna równość ekonomiczna stwarza w jej łonie podobną równość polityczną. Wszyscy markowcy posiadają jednakie prawa państwo nie jest jeszcze przeciwstawione społeczeństwu, lecz zlewa się z tem ostatniem. Wszystkie władze społeczne spoczywają w rękach zrzeszonego ogółu, wojsko jest jedynie zorganizowanem pospolitem ruszeniem. Inny zupełnie widok ukazuje się, kiedy pod wpływem rozwoju ekonomicznego zbiorowa własność ziemska rozpadnie się na cząstki, znajdujące się w posiadaniu prywatnem. Równość polityczna znika wraz z ekonomiczną, wszystkie władze społeczne wydzielają się w właściwe organizacye, odrębne od ogółu społecznego, i przeciwstawiają się temu ostatniemu jako państwo. Stosunki własnościowe zresztą ulegają bezustannej zmianie, lecz zawsze wykazują dwie wyraźnie zarysowane dziedziny: pracy i dochodu. Z biegiem czasu podobnie przekształca się zasada prawna, upoważniająca pewnych członków społeczeństwa do pobierania dochodu, lecz niezmiennie ci, którzy go sobie przywłaszczają, monopolizują też władzę polityczną i odsuwają od niej nie-właścicieli. Łatwo zrozumieć całą konieczność takiego ukształtowania politycznego. Własność wraz z pobieraniem dochodu nie może wprost istnieć, jeśli niema w swojem ręku dostatecznej władzy do trzymania na wodzy żywiołów nieposiadających; dopuszczenie bowiem tych ostatnich do rządów stargałoby samą stateczność własności. Po wszystkie też czasy pobieracze dochodu trzymali ster rządu w swojem ręku. Lecz sposób sprawowania władzy przedstawia

*) *Analisi della proprieta capitalista*. 1890.

**) *Teoria economica della constituzione politica*. 1886.

---

piękno przyrody i nieskrępowana, swobodna, bogata myśl artysty. Dusza tu wypoczywa...

Nagle rozmyślanie pana Hilarego zostało przerwane. W pobliżu rozległ się chrzęst piasku pod stopami kilku osób i głośne urywki śmiechem przeplatanej rozmowy. Na zakręcie alei pokazała się barwna gromadka kilku osób. Na przodzie biegła panienka-podlotek, szybkimi ruchami parasolki ścinała głowy przydrożnych traw i przerzucała się żartami z postępującemi za nią: mamą, zwieszającą się na ramieniu jakiegoś eleganta i obok kroczącą wysoką cienką panną, nieco sztywną w ciasno ujmującym jej kibić staniku. Wszystko to, nie przerywając rozmowy, umieściło się najwygodniej na ławce pana Hilarego.

— Pani ma racyę — dowodził młodzieniec, nieco przez nos wymawiając — mazur, to piękny taniec. Czy pani uważała — tu zwrócił się do panny — jakie *pas* wykonywam przy każdym zwrocie? To mój własny, oryginalny pomysł..

— Już to panu Karolowi powinszować manjery w mazurze — rzekła mama z nieodwolalnością wyroku.

— Czy pani uwierzy, że pan Alfons uczył się tego *pas* ode mnie wieczór cały? Nie udawało mu się jakoś. To moje, czysto oryginalne.

— Mamusiu! — nagle wykrzyknął podlotek — spojrz, jak ten łabędź wykręca zabawnie szyją! Zupełnie jak ty, Emilko, kiedy...

— Kociu! — wykrzyknęła ze zgrozą matka, piorunującym wzrokiem nakazując milczenie.

— Łabędzie bardzo ładne są ptaki — wtrąciła żywo starsza i dodała — tu wszystko jest ładne; tak czyściutko, porządnie, jak w saloniku.

— Ma pani racyę, niezły to sobie park. Szkoda tylko, że nie postawiono tu jakiego kiosku z napojami. Przyjemnie byłoby, siedząc tak na świeżem powietrzu, wypić szklankę piwa, czy limonady. W Niemczech wszędzie jest taki zwyczaj: byle ogródek, siedzą sobie i popijają, *im Grüne*...

Pan Hilary nie słuchał już dalej. Porwał się z ławki i biedz niemal począł przed siebie, byle dalej.

— Szympansy, magoty—powtarzał przez zęby. — Co mówią? Czyż nie piękniejsza, czy nie bardziej na miejscu jest złotawa Marykina zawieszona ogonem na baobabie dziewiczego lasu?

Szedł, wybierając dróżki ustronniejsze, bo już sporo przechodniów się pojawiać zaczęło. Nie zatrzymał się aż w końcu parku, gdzie wśród gęstwiny stała na uboczu ławeczka. Tu już był pewnym, że mu nikt nie przeszkodzi, ile że ta część parku była nieco zaniedbana i z „porządnej publiki“ rzadko się kto pojawiał. Dobył więc papierosa, zapalił go i znowu popadł w zadumę.

Jednak i tym razem nie zostawiono go w spokoju. Po kilku chwilach doleciał go odgłos z trudnością tłumionego łkania, potem dwa głosy spierające się z sobą, jeden żywy, zawodzący, namiętny, drugi krótkiemi zdaniami przeczący ów lament. Głosy zbliżały się, o kilka kroków jednak, po za gęstymi krzewami zatrzymały się nagle. Pan Hilary posłyszał wyraźnie, jak ktoś ciężko opuścił się na ziemię.

(D. n.)

W. Dal.

postać bardzo odmienną, odpowiednio do układu własności i zasady prawnej dochodu. Podczas niewolnictwa samo stanowisko prawne niewolnika wykluczało go od jakiegobądź udziału w rządach i oddawało go wyłącznie w ręce posiadaczów; za okresu pańszczyźnianego widzimy to samo i na tej samej zasadzie; wreszcie najmiciej porządek rzeczy znosi prawną zależność ludzi jednych od drugich, lecz równie nie dopuszcza tłumów nieposiadających do władzy. Cenzus wyborczy spełnia właśnie tę rolę; kiedy zaś upada pod naciskiem żądań głosowania powszechnego, wtedy miejsce jego zajmuje nizki poziom zarobków i zależność najmity od pracodawcy, dzięki czemu pierwszy musi podawać głos swój zgodnie z wolą ostatniego. Loria zatrzymuje się zwłaszcza długo nad systemami fiskalnymi w ich związku z porządkami ekonomicznymi i z monopolizowaniem władzy państwowej przez warstwy posiadające. „Ustroje ekonomiczne powołują do życia odpowiedni system polityczny, za jego zaś pośrednictwem — podatkowy. Układ organiczny władzy społecznej i sposób podziału bogactw, będący podstawą samej władzy, są istotnemi przyczynami, nadającemi tę lub inną postać porządkom finansowo-fiskalnym. Kto chciałby badać dzieje i teorye podatków, nie rozpatrzywszy organicznego układu, a tembardziej stosunków ekonomicznych, służących mu za oparcie, postąpiłby jak ów człowiek, który jąłby się pisania rozprawy o słuchu, nie zbadawszy budowy organów odpowiedniego zmysłu.“

Lecz podział produkcyi społecznej na dwie dziedziny: pracy i dochodu wyjaśnia strukturę polityczną jedynie bardzo niewystarczająco; powiadamia nas, kto ma w ręku swojem władzę, lecz zgoła nic jeszcze nie mówi, jak władza ta jest stosowana. Żeby bliżej wejrzeć w istotę ustawy politycznej, należy przypatrzeć się, jakie istnieją postacie dochodu i w jakim do siebie znajdują się stosunku. Otóż w ogólnych zarysach dochód rozpada się na rentę ziemską i rentę kapitałową, przytem wielkość jednej zwiększać się może tylko z uszczerbkiem drugiej. Ten podział dochodu wywołuje odpowiednie rozpadnięcie się warstwy posiadającej na dwa wrogie sobie odłamy: obywateli ziemskich i kapitalistów miejskich. Pierwsi, z istoty swojego dochodu wrodzy wszelkim ulepszeniom technicznym, ciągnący z własności coraz większe zyski bez żadnych w tej mierze wysiłków, dzięki żywiołowo idącemu wzrostowi ludności i bogactw, są zawsze grupą zachowawczą w społeczeństwie. Tymczasem ciągłe ulepszenia techniczne są jedynym środkiem utrzymania się przy dochodzie i zwiększania go dla kapitalistów. Z natury więc rzeczy są oni znowu grupą postępową śród warstwy posiadającej. Ustawa polityczna kraju kształtuje się odpowiednio do wzajemnego stosunku liczebnego obu tych odłamów. Początkowo istnieją jedynie posiadacze ziemscy, jak to widzimy w pierwotnym Rzymie lub w początkach wieków średnich. Władza bywa wtedy oligarchiczną, jeśli samych posiadaczów jest niewielu i jeśli nie są zbyt silnie zagrożeni ze strony warstw pracujących lub z zewnątrz kraju; jeśli zaś bezpieczeństwo dochodu się zmniejsza, liczba zaś wielkich właścicieli jest bardzo znaczna, ster rządów zostaje złożony w ręce jednostki, ograniczonej w swej wszechwładzy lub zupełnie przed nikim nie odpowiedzialnej — stosownie znowu do postawy warstwy pracującej lub nieprzyjaciół zewnętrznych. Lecz przedstawiciel władzy, chociaż najbezwzględniej ją spełniający, jest tutaj tylko echem życzeń i interesów ekonomicznych pobieraczów dochodu, przynajmniej póki nie ukażą się warstwy posiadające miejskie i nie pomogą mu zgnieść samowoli panów ziemskich. W ten sposób, kiedy odłamy posiadające miejskie są względnie jeszcze dość słabe, władza państwowa posiada charakter ograniczony; kiedy potęga miast wzrośnie, władza opiera się na niej przeciw ziemiaństwu i zwolna staje się nieograniczoną. Wreszcie kiedy kapitał nabierze odpowiedniej siły, równowaga ekonomiczna wymaga nowego porządku rzeczy — konstytucyjnego o jednej lub dwu izbach, stosownie do potęgi wzajemnie walczących z sobą żywiołów. Zresztą sama struktura ustawy politycznej ulega jeszcze dalszym zróżniczkowaniom w miarę tego, jak dochód lichwiarsko-bankierski wyodrębnia się od czysto przemysłowego. Słowem, „dochód stanowi źródło władzy politycznej, i jest to rzeczą naturalną, że wszelkiej zmianie w jego naturze odpowiada przewrót w organicznym układzie państwa i że odmiennym postaciom dochodu odpowiadają nawskroś odmienne formy ustroju politycznego. Przewroty polityczne są tylko następstwem zmian ekonomicznych i nie są zdolne do stworzenia czegoś pozytywnego, póki ustrój stosunków ekonomicznych nie zostanie do gruntu przekształcony.“ W liczbie tych zmian, pociągających za sobą skutki ekonomiczne, należy odróżnić jedne, które tylko przekształcają wzajemną wielkość dochodu — np. skupiają własność ziemską w mniejszej liczbie rąk, i drugie, które stwarzają nowe formy własności. Ostatniego rodzaju wypadki wywołują stosownie głęboki przewrót w ustawie politycznej, podczas gdy większa centralizacya jedynie tępi rysy demokratyczne u władzy i nadaje jej postać bardziej arystokratyczną.

W powyższem przedstawieniu streszczono wszystkie zasadnicze poglądy badacza włoskiego na ewolucyę polityczną. Zniewoleni do poprzestania na punktach najważniejszych, musieliśmy zupełnie opuścić bogate uposażenie wywodów faktami historycznymi. Walki i rozwój starożytnego Rzymu, średniowiecznej i nowoczesnej Anglii i Francyi, zwłaszcza zaś średniowiecznych miast włoskich dostarczają autorowi obfitego materyału faktycznego do udowodnienia twierdzeń. Winniśmy jednakże zauważyć, że niekiedy zbyt on naciąga fakty. W wielu razach jego poglądy, zamiast być wypływem życia społecznego, są raczej apriorystycznym szablonem, pod który usiłuje nagiąć zjawiska społeczne. Co więcej, cała nawet *Teorya ekonomiczna ustrojów politycznych*, jakkolwiek zupełnie słuszna w podstawowych swoich twierdzeniach, jest poniekąd chybioną próbą, młodzieńczą pracą w całem tego słowa znaczeniu.

W następnym szkicu przejdziemy do zdania sprawy z *Rozbioru własności kapitalistycznej*. Obecnie zatrzymamy się jeszcze nad jednym punktem, mianowicie nad znaczeniem reform prawodawczych w rozumieniu autora. Między innemi Loria występuje bardzo ostro przeciwko nadziejom, że państwo z własnej woli pójdzie po drodze reform społecznych. Jest ono przedewszystkiem organizacyą warstw posiadających i z tego powodu trudno spodziewać się od tych ostatnich, aby własnoręcznie zadawali sobie ciosy mniej lub więcej ciężkie. Zgodzą się na jakieś nieznaczne ustępstwa, ale tylko w tym przypadku, kiedy warstwy nieposiadające przybiorą odpowiednią postawę, a rozwój życia wyłoni stosowne zmiany. Wogóle wszelkie próby zmienienia każdorazowo porządku rzeczy są — zdaniem Loria — bezużyteczne i daremne, póki w łonie jego powolna ewolucya ekonomiczna nie zrodzi dostatecznie głębokich przekształceń. Ustrój niewolniczy nie został złamany przez powstania niewolników, lecz powoli rozpłynął się w pańszczyźnianym pod wpływem rozwoju ekonomicznego; podobnie wszelkie bunty chłopskie przeciwko pańszczyźnie były zupełnie chybione, póki życie samo nie uczyniło z niej mało wydajnej i mało postępowej formy wyzysku ekonomicznego. Zresztą Loria jest tego zdania, że cały rozwój historyczny ludzkości ma przed sobą już z góry wytknięte zadanie — wskrzeszenia dawnego kolektywizmu na podstawie nowoczesnych zdobyczy technicznych i kulturalnych. „Taka głęboka tożsamość pierwotnego i przyszłego układu społecznego jest koniecznością logiczną, którą zrozumie każdy, ktokolwiek zechce nieco głębiej przyjrzeć się rozwojowi dziejowemu ludzkości. Rzeczywiście, w pierwotnym okresie tego rozwoju wszystkie składowe części organizmu społecznego już są obecne, lecz w stanie zarodkowym, dopiero dłuższe wysiłki historyczne doprowadzają je do dojrzałości. Każda nowa epoka rozwija jeden z owych pierwiastków zarodkowych, a z dojrzewaniem jakiegoś innego zmienia się i samo ukształtowanie społeczeństwa. Lecz kiedy wszystkie już pierwiastki, które w łonie pierwotnej ludzkości ukrywały się pod postacią zarodkową, uzyskają najzupełniejsze swoje rozwinięcie, ustrój społeczny stanie się jedynie potężną podobizną pierwotnego organizmu społecznego. Te same bowiem pierwiastki, które początkowo istniały zarodkowo, lecz w tym samym stopniu napięcia, w ostatecznym ustroju równie będą przedstawiały inną, potężną lecz tę samą moc rozwoju.“ Pogląd ten ostatni, w gruncie rzeczy być może zupełnie słuszny, o ile idzie o zaznaczenie tożsamości pierwszego i ostatniego ogniwa dziejów ludzkości, przypomina mocno wywody metafizyków społecznych pod względem swego uzasadnienia. Przytoczyliśmy go jednak, gdyż przewybornie nam uwidocznia jeden rys umysłowości badacza włoskiego — szablonowania dziejów odpowiednio do apriorystycznych poglądów, wyniesionych, zdaje się, ze studyów nad Marxem i dyalektyką Hegla. Mówimy: zdaje się, bo otwarcie do tego sam Loria nigdzie się nie przyznaje. Jest on przedstawicielem materyalistycznego pojmowania dziejów. Kiedy wszakże twórcy tego kierunku uważali za rzecz główną zbadanie faktów i swojego pojmowania rzeczy używali jedynie jako środka metodologicznego, u ekonomisty włoskiego jest ono szablonem, z góry narzucanym — przynajmniej widzimy to w pierwszych pracach. *Rozbiór własności kapitalistycznej* jest już w znacznym stopniu wolny od tej wady.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marya Konopnicka. *Moi znajomi*, zbiór nowel, Warszawa, 1890.

Kto oni — odgadnąć łatwo. Wiemy, że duch poetki z tkliwością nieopisaną lgnie do maluczkich i niezmiernem ukochaniem obejmuje wszystko, co cierpiące i smutne. Wzrok jej, omijając biesiadników, szuka i odgaduje tych, co zdala od uczt i weselisk życia, w cieniu i na uboczu stoją. Wyprowadza ona na jasność dusze „proste i mierne“ i roztwierając chropawe ich powłoki, z lubością przygląda się tryskającym z nich blaskom. Ze świateł tych żadnego nie przyćmi i żadnego nie zatai, więc wzamian dusze owe nie mają dla niej tajemnic, a gdy innym ukazują tylko mętną i nieprzejrzystą powierzchnię, przed nią odsłaniają chętnie swą głębię. Bo dusze maluczkich są często bardzo jak te skrzypce, co pod smyczkiem artysty wyśpiewają wszystkie zaklęte w nich pieśni, gdy ręka profana dobywa z nich tylko dzikie i bezładne zgrzyty, same zaś... milczą zawsze. Wiele lękliwych i nieufnych, lub dumnych i milczących przemieszkiwa niby w sezamowych pieczarach, a Konopnicka pieczary te roztwierać umie. Powiada sama, iż do jednej takiej smętnej, a w sobie zamkniętej duszy dobiła się tylko cierpliwością długą i pracą, a mnie

się zdaje, że nadto jej własna sączy z siebie tkliwość przyjazną i ciepłą, która rozbraja, ośmiela i zniewala ku niej tych „jej znajomych.“

Czy nie tej nieświadomej tkliwości odbiciem jest ów nastrój wysoce poetyczny, który zda się, iż również nieświadomie przesiąka do słów, jakiemi dzieje zbolałych i ukrzywdzonych ludzi opowiada? Nastrój ten jest właściwością przyrodzoną jej talentu i natury pisarskiej, odnajdziemy go więc zawsze, zarówno w jej prozie, jak wierszach, ale zarazem jest on stwierdzeniem tego głębokiego współczucia, które węzłem macierzyństwa duchowego wiąże poetkę z rzeszą maluczkich. Bo czy można lepiej dać poznać subjektywne swe uczucia, których bezpośrednio autorce okrzykiwać nie wolno, jak ubierając najmilsze swe motywy w prozę wypieszczoną, wplatając je do barwnej i poetycznej przędzy! Tak samo postępuje ten, kto bez słów, samem obejściem usiłuje komuś szacunek okazać.

Posiada więc zbiorek powyższy barwę niewątpliwą a nawet mocną, osiągniętą jednak bez nacisku zbytecznego, bez tendencyjnych podkreślań i naciągań. Pominąwszy kilka drobiazgów, jak „Moja cioteczka,“ „Lalki moich dzieci,“ „Z cmentarzy,“ ogół tematów wzięty jest z życia proletaryatu na różnych jego szczeblach. Z tej strony jednak powinowactwo obrazków nie tyle jest uderzającem, ile ze strony psychologicznej. W każdym z nich bowiem widzimy do głębi rozwartą duszę ludzką, która poprzez swą pospolitą i skromną lub skażoną ułomnościami czy grzechami powłokę ukazuje jądro świetlne, promienne, piękne. Pomimo tego powinowactwa motywy przewijające się w obrazkach tych nie nużą jednostajnością, przeciwnie zaleca je nader subtelna oryginalność. Weźmy parę przykładów. Miłość macierzyńska była już setki razy wyzyskana w nowelkach z życia ludu, w „Urbanowej“ jednak nie znajdujemy nic powtórzonego. Oryginalnością wątku jest potęga wrażenia, jakie na biednej kucharce, która sześć razy na tydzień bywa pijaną, sprawia widok jej syna, przyodzianego w królewską purpurę z okazyi... roli, jaka przypadła dlań w jasełkach. Kochała go ona czule, syna tego, lecz nie widywała go inaczej, jak brudnego, obdartego, z dziwnie wygłodzoną miną i śladami edukacyi u szewca na plecach. I oto ten Janek, skazany na wieczną poniewierkę, nad którym umiała tylko płakać, nie żałując mu zresztą i ze swej strony — szturchańców, staje przed nią nie tylko umyty, lecz nadto odziany czerwonym płaszczem, z berłem w ręku i koroną na głowie, w majestacie należnym „Królowi Herodowi.“ W uniesieniu szalonem, w wybuchu niezmiernej radości, jakim przyjęła Urbanowa tę chwilową królewskość syna, znajdujemy miarę jej miłości dla niego. Umierając kazała Jankowi raz jeszcze przywdziać szaty Heroda, przed skonaniem chciała go widzieć... w królewskiej purpurze!

Ksawery, idyota wiejski, bezdomny i sierocy, trafem odnajduje swą matkę. Był on dzieckiem nieprawem, a matka jego przez lat trzydzieści pozwalała mu tułać się w nędzy dla losu jego obojętna. Dopiero w ciężkiej chorobie, przez księdza namówiona zgodziła się błąd naprawić i Ksawerego za syna uznała. Niedługo jednak biedny idyota cieszył się posiadaniem matki. Czując, że przezeń pada cień na nią i że dla dobrobytu jej moralnego jest tylko zawadą, odszedł i więcej do niej nie wrócił. A przecież tak pragnął mieć matkę, mieć nazwisko, jak inni ludzie.

Józikowi Srokaczowi młockarnia rękę urwała. Wypadek ten nie byłby nastąpił, gdyby gospodarz nie zapomniał kieratu obić deskami. Józik żalu o to nie żywi, a że trzy lata służąc krzywdy nie doznał i w ciągu choroby opiekę znalazł, więc umiera „z wdzięcznem sercem i wszelaką przychylnością,“ a nadto grunt swój dziedzicowi zapisuje.

Pośród opracowanych w nowelistyce naszej postaci ludowych mało jest tak oryginalnych, jak „Banasiowa.“ Wyobraźcie sobie tę starowinę, latami nadmiernie przywaloną i spracowaną okrutnie, jak użala się, że Pan Jezus nóżką swoją przenajświętszą liczbę jej przestąpił i odwołać jej do siebie zapomniał, a przez to zapomnienie ona tu na ziemi niepotrzebnie „kartę-pobyt“ opłacać musi... Umyśliła sobie, że Pan Bóg dawno już wybrał od niej za ten pobyt „i rodzeniem i żałością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku,“ co przykryły dzieci jej „siedmiorgo,“ więc z dziwu wyjść nie może, że w mieście, dokąd do dzieci swych „na śmierć ściągła,“ trzeba co kwartał za pobyt opłatę składać. A urosła płata ta bardzo wielka, bo Banasiowa zawiodła się w swych rachubach, czekała śmierci z dnia na dzień, czekała jej ze słusznem prawem istoty, która ciężką swą taczkę od końca do końca wielkiej drogi bez szemrania ciągnęła, a tu życie się zacięło i nie ustępuje i Banasiowa ostatni swój grosz, przeznaczony na „pochów“ oddać musi za ów pobyt, który tak bardzo już jest jej niemiłym.

Treści wszystkich obrazków opowiadać nie będziemy, należałoby bowiem przytaczać je w całości, chcąc dać pojęcie o największym ich powabie—nieporównanej poetyczności, malowniczości i bogactwie języka, jakim są pisane. Ze znajomego nam tomu „Nowel“ wiemy już, że w tego rodzaju utworach Konopnicka doprowadziła prozę do śpiewności niemal, rytmiki i barwności tem więcej uderzającej, że proza jej zawsze sprawia wrażenie doskonałej prostoty.

F. B.

ŚRÓD MUZ.

II.

Dwa konkursy.

Same niespodzianki...

Pierwszą z nich jest fakt, że na turniej malarski imienia prof. Gersona, pozwalający bujać po sferze fantazyi, czarów, marzeń, ekstazy religijnej i patosu dziejowego — nadesłano raptem dziewięć płócien, z czego możnaby wyciągnąć smutny nader wniosek, że mistycyzm u nas słabnie...

Druga, że ogół, nie posiadający warunków społecznych, śród których wyrasta i rozwija się architektura, dowiódł niepośledniej w tej sztuce żywotności; złożył on wymowno świadectwo, że gdy jedna z muz spojrzy na kogoś łaskawem okiem, wnet za przykładem jej idą siostrzyce.

Trzecia wreszcie, że artyści, oswojeni z tematami religijnymi, jako specyaliści niemal, nadesłali rzeczy najgorsze, zaś ci, co właśnie gorszą opinię motywami skandalicznymi, wykazali najwięcej religii.

A może to i leży w naturze rzeczy, że kto nadaremnie wzywa imienia boskiego, najsłabiej je w sobie czuje, a kto jest prawdziwym artystą, ten potrafi intuicyą swą wznieść się aż do wyżyn poezyi ewangelicznej? Prawdopodobnie tak jest, bo „Chrystus dźwigający krzyż“ p. Styki, autora „Hildy“ i wielu wzlotów do nieba, robi wrażenie dosyć... odlegle spokrewnione z dobrym smakiem. Zbawiciel jego jest niewątpliwie postacią męczeńską, zbolałą i sympatyczną, ale i grubo pospolitą zarazem. Niema w nim ani za szeląg oryginalności, ani za grosz głębi: wszystko to już było w krociach egzemplarzy i... zostało zapomniane. A przytem dzieje się w tym motywie fizyczna niemożliwość: oto krzyż ów byłby dobrym na barki Atlasa lub Samsona, ale nie na barki Syna Bożego, którego postać doczesna była chyba trochę wątlejszą. A może p. Styka pragnął się wyłamać z szablonu tradycyi i traktować Chrystusa tak, jak Michał anioł swoich apostołów?

— E, co pan pleciesz! — woła któryś z czytelników, dbający o zbawienie duszy p. Styki.

No, to przepraszam, jeślim go tem przypuszczeniem obraził. Zresztą prawda: w takim razie widzielibyśmy tytaniczną muskulaturę, natężoną grę mięśni, jak np. w „Herkulesie“ Canovy. A tu widać jeno lekką boleść i zupełny brak śladów męczeńskiego wysiłku. Nie taką była droga na Golgotę! Treść, choćby najbardziej nieziemska, jeśli tylko w ziemskich przedstawiona jest kształtach, musi też ziemskim podlegać prawom, albo też wyrażać cud, a p. Styka i o mechanice dźwigania pojęcia niema i o pogoń za cudownością pomówiony być nie może.

„Dwa anioły“ p. Lisiewicza z Krakowa: ziemski i niebieski, niczem nie usprawiedliwiają tej różnicy w legitymacyach, jaką podaje tytuł obrazu, chyba tem tylko, że jeden z nich pływa w przestworach o pół łokcia wyżej od drugiego. Obadwaj zawiśli, spłątani wzajemnym uściskiem, który pozwala dokładnie porównać ich twarze: otóż nie różnią się one wyrazem nic a nic. Nie chcemy jednak chwytać artysty na uczynku kłamania napisowi, który pod płótnem położył. Błędy tego rodzaju nie mają żadnego zgoła znaczenia, co najwyżej, zdradzają niemiłą czułostkowość i zamiłowanie do niemiecko-idealnych, tanich fantazyj *à la* Bodenhausen. Sam utwór jest o wiele lepszy; głowy są ładne, fizyognomie pełne wdzięku i słodyczy, osobliwie dolna; można z upodobaniem patrzyć na nie, a całość mimo swój *genre* mocno spospolitowany, posiada sporo dobrego smaku.

Nie można powiedzieć tego samego o „Pogoni za ideałem“ p. Szwojnickiego. Choć nie pozbawionym jest efektu górny lot młodzieńca, otoczonego wieńcem dziewic, na tle fosforycznego światła obłoków, to jednak sam motyw trąci myszką. Niepodobna na widok jego oprzeć się wspomnieniu oklepanego rymu: „ideały — migdały.“ Przywodzi on odrazu na pamięć albumy pensyonarskie i robi wrażenie, jak gdyby zrodził się w wyobraźni rozmarzonego poczyami Lamartine'a dziewczęcia. A co to za nimfy, w włosach sztucznych z peli, okalają mknącego ku niebiosom poetę? Zapewne mają one oznaczać nie-ideały, to jest to, co go nie zadawala. Jedyną może zaletą płótna jest nienajgorszy światłocień, w którym głowy rysują się okrągło i wypukle.

Przy „Fontannie w Bakczyseraju“ p. Ciąglińskiego stoi zadumana dziewica wschodnia i z wodotryskiem razem tworzy grupę nie pozbawioną nastroju — to wszystko co o dziele powiedzieć można. Trudniej jeszcze zdać sobie sprawę z „Ucieczki do Egiptu“ p. Wiesiołowskiego, zwłaszcza, gdy w tym samym prawie czasie oglądałeś jego „W krainę miłości,“ z tą samą sceneryą, kompozycyą i efektami. I tu i tam łódka, i tu i tam skrzydła, słodycz porcelanowa kolorytu i seraficzność twarzy.

Nikt też pewnie o oryginalność nie posądzi p. Mordasiewicza, którego „Chrystus uzdrawiający ślepych“ niczem zgoła nie różni się od wszelkich innych płócien, przeznaczonych do kościoła. Setki podobnych obrazów wychodziły z pod pędzla „Nazarejczyków,“ Overbecka, Schraudolpha i im pokrewnych i to jedyne bodaj przemawia za artystą, że może bezwiednie wcielił się dosyć dobrze w styl niemieckich malarzy religijnych i dzieli z nimi zaletę staranności i... jałowości.

Prędzej już możnaby przyznać odrobinę fantazyi p. Sochaczewskiemu za jego „Mojżesza,“ który wykuwa na tablicach dziesięcioro przykazań; ale prawodawca ludu wybranego jest tu zwyczajnym starcem i można by go również dobrze wziąć za kamieniarza z pod „kirkuta,“ w chwili, gdy sporządza nagrobek...

Zostają dwie kreacye, równie dalekie od genialności, ale bądź co bądź przerastające o całą głowę poziom ogólny prac konkursowych. Są to: „Zwiastowanie“ p. Henryka Piątkowskiego i „Milda“ Alchimowicza. Pierwsze jest wiernem odbiciem realistycznej religijności w niektórych obrazach francuskich, np. Dagnan Bouvereta, albo u niemca Uhdego; recepta ich prosta: bierze się czysty sentyment, szczery i nieraz głęboki i wlewa się go w formę i akcesorya ziemskie, dla każdego zrozumiałe. Rezultat jak zresztą i w obecnym wypadku bywa nader szczęśliwy i daje zwykle rękojmię, że malarstwo, karmiące się motywami z Pisma świętego, potrafi i dzisiaj nawet stać na wyżynach swego trudnego zadania, potrafi odtwarzać ekstazę, byleby zrzuciło z siebie osłonki i ozdóbki idealistyczne i naciągane rozanielenia mistrzów epoki Rafaela i ekspresyę swą czerpało nie z intuicyi, lecz z wiernej obserwacyi. Dawne Madonny mają piękne ciała — dzisiejsze mają realnego ducha i życie.

P. Piątkowskiego Madonna ma w swoich rysach niekłamane uczucie pokory i zachwytu; anioł, zwiastujący jej niepokalane poczęcie na tle zielonego pola i krajobrazu, całkiem, rzekłbyś współczesnego, pojęty jest oryginalnie i ma dobre, ciężkie, duże i należycie pierzaste skrzydła; tylko możnaby go niewątpliwie zrobić nieco ładniejszym, podobnie jak i Boża Rodzicielka mogłaby nie mieć ulubionej przez autora gliniąstej cery. No, ale *de gustibus*...

Wogóle indywidualność tego artysty, popierana pracowitością, zarysowywa się coraz dobitniej i obiecuje odbić się korzystnie na naszej sztuce, wprowadzić w nią soki bardzo żywotne, postępowe, świadome celu swego.

Słówko wreszcie o „Mildzie.“ Ładna jest, dobrze narysowana i smaczna, ale tylko jako akt, na twarzy bowiem bardzo słabe są ślady tragedyi, której ofiarą padła ona z woli Perkuna; daleko więcej wyrazu i finezyi posiada ciało młodzieńca, zabitego jego ręką; widać przynajmniej, że to trup: leży naturalnie i bezwład prawdziwy znamionuje. Całość tłomaczy się dosyć licho—mówiąc delikatnie — i stanowi raczej wdzięczne studyum, niż pełne i zrozumiałe dzieło, wrażenie też sprawia nie wielkie.

Objaśnić muszę czytelnika, że z rozmysłu pominąłem w tym powierzchownym przeglądzie względy koloru, plastyki i wogóle techniczną stronę. W obrazach, na temat religijny lub fantastyczny świadomie malowanych, punkt ciężkości spoczywa w żywiole ekspresyi. Dla naszej wyobraźni *fin de siècle*, trzeźwej i suchej, rodzaj ten staje się coraz trudniejszym; jest to przedewszystkiem popis fantazyi i inwencyi i z tego też stanowiska należy je oceniać.

Nader ostrożnie potrącę o drugi turniej. Salon Zachęty nigdy jeszcze chyba nie jaśniał taką masą planów i projektów architektonicznych, jak w chwili obecnej; jest to wystawa w całem znaczeniu wyrazu, po której my, profani w sztuce budownictwa, spacerujemy trochę inaczej, niż specyaliści. My patrzymy na sylwetki, ornamenty, ogólne piękno kształtów, mało dbając o to, czy budowla odpowiada, jak się należy, swemu celowi i w gustach swych powodujemy się owymi szablonami, którym na imię „styl.“ Oni zaś, jeśli tylko umieją patrzyć bez szkieł akademickiej rutyny, wiedzą lub wiedzieć powinni, że styl, indywidualność gmachów, tworzą się tylko przez konsekwentne dopasowywanie ich do potrzeb danej doby i że dzisiaj też, sami tego nie przeczuwając, jesteśmy świadkami narodzin stylów oryginalnych, znakomitych, które potomkom naszym wydawać się będą takim samym wykwitem sztuki, jak nam: gotyk, doryk lub romańszczyzna. Wiek dziewiętnasty stworzył teatry kryte, wygodne i bezpieczne; dworce kolejowe, halle targowe, wprowadził do architektury żelazo i szkło, wydał moc typów nowych i często genialnych, choć mu to nie przeszkadza ignorować w swej ślepocie — własną wynalazczość i zachwalać przebrzmiałe, bo niepraktyczne już i niestosowne formy.

Wspominam o tem dlatego, że my mamy osobliwe szczęście do banialuk klasycznych i rwiemy się do sądzenia z tytułu jakiejś tam uniwersalno-metafizycznej estetyki o tem, o czem tylko zawodowiec, dajmy na to, technik, wyrokować może. My możemy o budynkach z celem specyalnym twierdzić w najlepszym razie to, co twierdzimy o piramidach cukierniczych: że mają ładny deseń, proporcye, symetrye itp. Nic z fizyognomii zewnętrznej wnioskować można o wartości projektu, lecz z jego *planów* i *cyfr*, a w tych oryentować się można tylko po pewnym nakładzie pracy.

Byłbym zdania, że Towarzystwo zachęty wtedy dopiero odegrałoby swoją rolę, gdyby włożyło na kogoś z fachowców obowiązek tłomaczenia zwiedzającym — w pewnej porze dnia — jaki jest ustrój wewnętrzny wystawionych modeli, proponowane w nich warunki wygody, zdrowotności, rozmiaru, kosztu. Albo pani Trzepalska, zachwycająca się „Kasynem“ p. Wieliczki, może wiedzieć, czy sala zebrań jest dosyć duża, widna i przewiewana, czy „Teatr“ p. Wąsowicza — nawiasem mówiąc strasznie podobny do wiedeńskiego Hofburgtheatru—zabezpiecza widzów od szansy usmażenia się, czy „Szpitale“ p. Tołwińskiego liczą się ze wskazówkami dzisiejszej medycyny, czy dom przy ulicy Brackiej utrzymany na zewnątrz w stylu polichromii greckiej, pomysłu p. Rodakowskiego, przewyższa czemkolwiek inne domy dochodowe?

Wysoce ciekawym jest pomysł wielkiego gmachu dla zebrań liczniejszych, zabaw publicznych, koncertów, odczytów itp. Nietylko na równi z Europą, ale w stopniu daleko wyższym pali nasze miasto potrzeba tego rodzaju budynku. Śliczne są jego kontury w projekcie, olbrzymim rozmiar, dowcipnem i wygodnem urządzenie. Z takąż samą przyjemnością ogląda się plany hali targowej, pomysłu pp. Szyllera i Jabłońskiego, dzięki obfitości rysunków, zebranych w jedno wielkie album, można ocenić mniej więcej ogromną przewagę jego nad podobnąż halą, wystawioną przez p. Goldberga, która i sylwetki ładnej nie posiada i niską jest, spłaszczoną i stokroć mniej pojemną, mimo iż miejsca zajmuje bardzo dużo.

Z pomiędzy kościołów pp. Hosera, Municha i Goldberga, wyróżnia się swą harmonią i wspaniałą monumentalnością cerkiew tego ostatniego. Warto też przyjrzeć się zamkowi Tęczyńskiemu, jak ma wyglądać po odbudowaniu według planu p. Hendla.

Zakończę wzmianką pośmiertną o bulwarach inżeniera Devarsa, które w rzeczy samej za ładnie wyglądają, ażeby można było kiedykolwiek wierzyć, iż z krainy rojeń przejdą w sferę faktów — oraz powtórną prośbą pod adresem Salonu Zachęty, aby zechciał uczynić plon swego konkursu dostępnym bliżej przeciętnemu ogółowi. Tym sposobem przekona nas, że i sam... zna się na architekturze i że pojmuje jej przyrodzoną niepopularność.

Zejdźcie więc z Olimpu bram...

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SĄDOWNICTWO W GALICYI.

III.

Przemawiając za wprowadzeniem postępowania cywilnego, opartego na zasadzie ustności, jawności i swobodnego ocenienia dowodów przez sędziego, łudzono się nadzieją, że ono bodaj w szczupłym zakresie spraw t. z. drobnostkowych będzie ową grudką, która urośnie w lawinę burzącą u podstaw przestarzały proces austryacki. Niestety, było to złudzenie. Zbyt lekceważymy znaczenie „bagatelek,“ powierzanych młodym sędziom, którzy nieraz muszą ich połknąć do stu na jeden ranek. Dotyczy to głównie spraw naszego biednego ludu. Chłop nie skarży, ani jego nie skarżą o setki tysięcy, lecz o kilka lub kilkadziesiąt złotych. W sali rozpraw drobnostkowych tak mało na pozór ciekawej, w której stół i kilka krzeseł są jedynemi sprzętami, krzyż, świece i tora—jedynemi źródłami pobudek moralnych, w sali tej rozgrywają się pierwsze akty tragedyi z życia chłopskiego, kończących się wstrętnem widowiskiem sądowych grabieży, tj. wydzierania ofiarom własnej głupoty i cudzej przebiegłości całego dobytku...

Można stanowczo twierdzić, że na sto spraw drobnostkowych w 70 powodem jest żyd, a pozwanym chłop; że w ciągu roku jeden i ten sam powód przeciw chłopom wsi, którą sobie obrał za intratną siedzibę, doprowadza liczbę skarg do stu i więcej; że na sto spraw dochodzi do egzekucyi przeszło połowa! Dane te wykazują jasno grozę położenia. *Jura vigilantibus scripta sunt*; nieporadność zaś, zupełny brak pamięci u chłopa stają się okropną bronią w ręku przebiegłych lichwiarzy. W nasze prawo karne zbyt głębokie korzenie zapuściła tu scholastyka, nasze kary są przestarzałe, cały nasz wymiar sprawiedliwości nie odpowiada wymaganiom dzisiejszego życia. Zbrodnie się mnożą, „rewertanci“ nie ustają. Badania naukowe okazały, że zbrodnia jest zjawiskiem społecznem. W tem poznaniu znajduje swe źródło zupełnie nowa umiejętność, której nasi „kryminaliści“ nawet z imienia nie znają.

Wychowani w kazuistyce wieków scholastycznych nauczyliśmy się „komentować“ znaczenie słów kodeksu, a ten jest lepszym „jurystą,“ który więcej zna hofdekretów i ma w pamięci więcej wyroków najwyższego trybunału. Już poseł sejmowy prof. Madejski, znany stańczyk, zwrócił uwagę Izby na niedostatki postępowania karnego w Galicyi. Przypatrzmy się naszym śledztwom. Ile jest u nas wypadków, w których bez podstawy naraża się cześć i wolność ludzką, okazują cyfry. W r. 1864 procent aresztowanych w śledztwie dochodził do 48, w r. 1884 do 68 a w r. 1880 do 74!

Łatwość więzienia ludzi podczas śledztwa przechodzi wszelkie granice: areszt następuje wskutek prostego tylko doniesienia o zbrodni, niesprawdzonego w swej wiarogodności. Wykluczając nawet złą wolę, należałoby uwzględnić, że czyniący pod wrażeniem zbrodni doniesienie działa w niezwykłem rozdrażnieniu, że wtedy domysł staje się w jego fantazyi pozorem, a pozór natychmiast poszlaką. Doniesienia do prokuratoryi przychodzą także od policyi i od żandarmeryi, które chcąc się pochwalić owocami swej gorliwości urzędowej wymyślają najnieprawdopodobniejsze przestępstwa.

I cóż się dzieje? Niedaleko większego miasta w Galicyi umiera nagle ksiądz. Żandarm, którego o tem zawiadomiono, zastał przy nieboszczyku kierownika miejscowej szkoły ludowej. Obecność na miejscu czynu, to poszlaka stanowcza. W tej chwili więc znalazły się kajdany i wobec gminy, wobec młodzieży, którą nauczyciel dotąd wychowywał, odprowadzają okutego do miasta, oddają do sądu i tam oczywiście osadzają w areszcie śledczym.

Nazajutrz sędzia udaje się na miejsce zbrodni z komisyą, sekcya trupa wykrywa, że ksiądz zmarł na apopleksyę, lekarze uznają, że jakiekolwiek uszkodzenie obcą ręką jest zupełnie wykluczone. A czyż nie można było zrobić sekcyi pierwej i zaczekać do jej wyniku dzień jeden z aresztowaniem nauczyciela? Człowiek ten siedział tylko trzy dni, ale czego doznał, przebywając ze skazańcami, tego niepodobna opi-

sać. Wobec tych i tym podobnych wypadków należałoby zmienić procedurę karną w tym kierunku, aby władza prokuratora i sędziego śledczego była ograniczoną, tak jak w innych państwach, n. p. w Anglii, we Francyi, gdzie o wykonaniu śledztwa lub o zarządzeniu aresztu rozstrzyga kolegium a nie jeden sędzia. Prócz tych wad, są w naszem sądownictwie administracyjne. Według ustawy sędzia śledczy powinien górować nad prokuratorem, albowiem ten ostatni proponuje śledztwo przeciwko komuś, lub zarządzenie aresztu śledczego, pierwszy zaś może zgodzić się na wniosek lub nie. Tymczasem musi dziać się przeciwnie tam, gdzie śledztwo oddają najmłodszym urzędnikom. Czy podobna, ażeby auskultant lub adjunkt sądowy, o trzy lub dwa stopnie hierarchii urzędniczej niższy od prokuratora i doświadczeniem młodszy, miał odwagę sprzeciwić się jego żądaniu?

Pod ciągłym nawałem pracy często prokurator nie może iść z postępem wiedzy, a w końcu przestaje należycie rozumieć społeczeństwo, świat i jego prądy. I wtedy zdarza się, że przy badaniu wypadku niezwykłego jako oskarżyciel występuje człowiek, który zatracił już zmysł do rozpoznania objawów życia. Dlatego raziło nawet stańczyków, gdy np. prokurator tę okoliczność, że oskarżony należy do kilku stowarzyszeń, wskazywał jako silną poszlakę, iż to jest anarchista. Opowiadają w kołach prawniczych o prokuratorze, który powiedział, że „właściwie każdy człowiek kwalifikuje się do kryminału, a jeżeli mimo to po świecie wolny chodzi, to tylko dzięki przypadkowi.“

Zdarzyło się, że wydano u nas wyrok niepojęty, któremu równy zdarzył się dotąd — o ile sięgają kroniki kryminalistyczne — tylko raz jeden i to jeszcze w XVII wieku we Francyi. Mianowicie sąd skazał winowajcę na karę śmierci, a wspólnika jego na 10-letnie ciężkie więzienie za zamordowanie dziewczyny, która żyje do dziś i dobrem cieszy się zdrowiem! Fakt ten stał się głośnym, obiegł już we wszystkich niemal językach literaturę cywilizowanego świata. Dla prostego rozumu nastręczało się przecież pytanie: czy można kogoś skarżyć o zabójstwo, dopóki nie jest udowodnionem, że zabity umarł? Obrońca zwracał wprawdzie na to uwagę, ale prokurator odpowiedział, że w tem leży właśnie dowód przebiegłości winowajcy, który tak znakomicie zatarł ślady zwłok zamordowanej dziewczyny, że ich nawet władza znaleźć nie zdołała.

Sądownictwo karne ilustrują w Galicyi najlepiej procesy o obrazę czci. Cały rok, a zwłaszcza na wiosnę i po żniwach bywają sądy nasze nawiedzane plagą, zwaną „pyskówkami“ lub „obrazowkami.“ Co tydzień załatwiają one przeszło 100 spraw o obrazę honoru, tak że na rok wypada przeszło 6000 w jednym. Lada przycinek, który wyrwie się z ust sąsiadowi lub sąsiadce, lada podniesienie dłoni, nawet zwykła plotka wystarczy, aby strona rzekomo obrażona leciała do pokątnego doradcy, wypisującego za kilka „szóstek“ całe tyrady, które później biedny sędzia rozwiązywać musi, aby najczęściej przekonać się, że w całej skardze „nie ma istoty czynu karygodnego.“ Ale piśmidło to z konieczności sądowo-administracyjnej, zanim mu głowę ukręcą, przełazi przez wszystkie „protokóły.“ Doszło do tego, że nawet sprawy rzeczywiście honorowe pytlują się w sposób szablonowy, częstokroć bez należytego ich zbadania. Podczas rozprawy usłyszysz obraźliwsze słowa ze strony zniecierpliwionego sędziego, niż te, które są podstawą skargi. Dodajmy bezkarność, z jaką się wywija od odpowiedzialności oskarżyciel, a będziemy mieli wyobrażenie o szkodach moralnych tego postępowania. *Gazeta polska*, wychodząca w Czerniowcach, podała niedawno dokładny kosztorys „pyskówek.“ Zestawiając podane tam cyfry otrzymamy kapitał w gotówce i w utraconej pracy wysokości 1,292,950 złr. Tyle kosztuje naprawa honorów naszych w Galicyi i Bukowinie. Zważywszy, na jaki cel ten milion rocznie wydaje najciemniejsza i najuboższa warstwa społeczeństwa, należałoby się zastanowić nad sposobem, jakby tej pladze krajowej zapobiedz, zwłaszcza że procesy honorowe to najpraktyczniejsza szkoła, z której wychodzą najzawziętsi pieniacze.

Beta.

HYGIENA SPOŁECZNA.

Obrady kongresu w Wiedniu (1887 r.) zapoznały szersze koła z doniosłością hygieny społecznej. Od tego czasu wzrasta zajęcie publiczności dla tej sprawy i mnoży się szereg dzieł pouczających o wyniku odnośnych badań naukowych i o stanie istniejących dziś urządzeń. Treściwie i popularnie objaśnia zadanie i dzisiejszy stan hygieny społecznej niewielka książa, która pojawiła się w nakładzie A. H. Frieda w Berlinie p. t. „Sociale Hygiene.“ Autor wydaje całą biblioteczkę, której tomiki zasługują na uwagę tych, dla których są przeznaczone. Dornbluth opracował „Hygienę pracy umysłowej,“ Rain „Hygienę potraw,“ Kornig „Hygienę czystości“ itd.

Początki hygieny społecznej — twierdzi dr. Georg, autor „Hygieny społecznej“ — sięgają w odległą przeszłość; wiele religijnych przepisów u egipcyan i hebrajczyków do tej należy dziedziny, a budowle cesarzów rzymskich, łazienki Nerona, Agrippy, Dioklecyana, Tytusa i Trajana, okazałe wodociągi i świetny system kloak służyć mogą za wzór dzisiejszym stolicom. Lecz pod wpływem chrześciaństwa, które i sprawy świeckie, cielesne, oddawało w opiekę nieba, owe początki w wiekach średnich zaginęły całkowicie. Dopiero w naszem stuleciu Anglia i Francya pojęły znaczenie tych środków, a kiedy cholera nawiedziła Europę, potrzebę hygieny społecznej uznano wszędzie. W Niemczech znalazła ona dzielnych krzewicieli i obrońców: Rudolf Virchow, Marks Pettenkofer, Kohler i Flügge żywo się nią zajmują. Przeciwnikami jej są konsekwentni wyznawcy darwinizmu, którzy zarzucają jej, że mąci wpływ doboru naturalnego, niszczącego osobniki, nieposiadające dostatecznej siły żywotnej. Lecz wiadomo, że choroby, wynikające z nieodpowiednich warunków hygienicznych, nawiedzają osobniki silniejsze, zarówno jak słabsze, a przebieg ich dla ludzi mocniejszej budowy jest często groźniejszym. Cele hygieny społecznej są przedewszystkiem humanitarne, lecz dziś nie można zapominać i o jej gospodarczej doniosłości. „Najcenniejszym kapitałem państw i społeczeństw jest człowiek; każde życie jednostkowo przedstawia pewną wartość.“ Oto słowa zmarłego arcyksięcia Rudolfa przy zagajeniu międzynarodowego kongresu hygienicznego w Wiedniu. Pettenkofer obliczył, że koszty leczenia, utrzymania i utrata zarobku przez dzień choroby wynoszą co najmniej 2 marki. Biorąc ludność Wiednia (milion mieszkańców), której śmiertelność wynosi 30 na tysiąc, koszty zgonów wypadają mniej więcej na 42 miliony marek. Gdyby zaś śmiertelność zredukowała się o jeden tylko procent rocznie, miasto zyskiwałoby 1,400,000 marek; odpowiada to kapitałowi 35 milionów m. W Monachium piją rocznie piwa za 25 milionów m. Gdyby mieszkańcy zmniejszyli to spożycie o $^{1}/_{5}$, pijąc 4 szklanki zamiast 5, oszczędziliby 5 milionów na cele hygieniczne, dla których obecnie fundusze nie wystarczają. Przydałoby im się to tem bardziej, że według badań Bollingera w Monachium znacznie więcej osób umiera wskutek wady serca, aniżeli w innych miastach.

Hygiena społeczna ma pole nader obszerne. W zwykłem, popularnem znaczeniu oznacza ona przedewszystkiem staranie o poprawę warunków, wśród których żyją klasy najuboższe, podlegające największej śmiertelności. Lecz całe swe zadanie spełnia ona wówczas dopiero, kiedy reguluje sprawy pożycia płciowego, prostytucyi i chorób zaraźliwych, kiedy normuje pożywienie wszystkich warstw społecznych, kiedy rozciąga swą opiekę nad wychowaniem młodzieży w domu i szkole, kiedy w urządzeniu miast zabezpiecza warunki zdrowotne dla całej ludności.

Zdawałoby się, że w Niemczech, gdzie obecnie tak energicznie pracują nad reformami społecznemi, hygiena społeczna powinnaby być urządzona wzorowo. Mamy pod ręką świeżo ogłoszone dzieło profesora Guttstadta „Deutschlands Gesundheitswesen“ (Lipsk, Georg Thieme), którego tom pierwszy zapoznaje nas z organizacyą zdrowotności i ustawodawstwem sanitarnem każdego najdrobniejszego państewka niemieckiego. Pełno tam urzędników, mnóstwo regulaminów dla każdego; lecz wszystkie urządzenia mają charakter policyjny, nigdzie nie przebija się dobroczynny duch lekarza-filantropa. Szerszy widnokrąg otwiera się jeno w urządzeniach centralnych. Prusy np. posiadają obok ministeryum dla spraw sanitarnych, zjednoczonego z ministeryum wyznań i oświaty, osobną deputacyę naukową dla spraw medycznych, której minister winien przedstawiać wszystkie swe projekty do zaopiniowania, a która nadto ma obowiązek z własnej inicyatywy proponować środki, odpowiadające dzisiejszemu stanowi nauk lekarskich; zdaje się jednak, że deputacya ta jest maszyną biurokratyczną, podobnie jak wszystkie inne instytucye państwowe w Niemczech. O czynnościach jej nic nie słychać, a za to dowiadujemy się z dziełka Georga, że Niemcy do dziś dnia nie posiadają odpowiedniej ustawy ochronnej dla chorób epidemicznych i że do obrad nad nowelą regulaminu pracy przemysłowej nie zaproszono wcale lekarzy i hygienistów, którzy wskazywali potrzebę reform na tem polu.

Wszystko niemal jest jeszcze w okresie projektu. I tak sprawa pomieszkań robotniczych, nagląca wobec znacznej śmiertelności, skutkiem niehygienicznych mieszkań, opieszale jest traktowaną. Zdobyto się dotychczas na zaprowadzenie tanich biletów tramwajowych i kolejowych dla robotników, mieszkających za obrębem Berlina; lecz o budowaniu tanich domków zdrowych, przeznaczonych dla jednej lub dwóch rodzin robotniczych, w Niemczech jeszcze nie myślą. W Anglii system ten, o ile już wprowadzony został w życie, świetne wydaje wyniki, jak dowodzi statystyka, zestawiona przez Saxa; a i we Francyi towarzystwo „Société française des habitations à bon marché“ żywo krząta się około zreformowania mieszkań robotników i proletaryatu.

N.

Z POZNAŃSKIEGO.

2 lutego.

Wiec jezuicki i jego rezultaty. — Ksiądz dr. Kopp jako pogromca i dziekan z Grudziądza. — Nowa spółka melioracyjna.

Już jesteśmy po t. z. wiecu jezuickim, o którym pisaliśmy w ostatniej korespondencyi, a przed nami leżą rezultaty jego obrad.

Jeszcze nie było w Poznańskiem sprawy, do której by się obywatele garnęli z takim zapałem, zaparciem siebie i pośpiechem, jak obecna. Gorliwość, jaką tu rozwinięto, przeszła zwykłą miarę; wprawdzie złośliwi twierdzili, że poznańczyków coś opętało, lecz na to „poważniejsi“ nie zważali. Na-

tychmiast po pierwszym wiecu, na którym sprawę jezuicką poruszono, ukonstytuował się komitet i wyznaczył termin zjazdu na dzień 22 stycznia, wzywając obywateli do jak najliczniejszego udziału w tej „prawdziwie narodowej (!!) manifestacyi.“ To też dzięki takiej zachęcie sala Lamberta (Odeon) przy Piekarach, największa, jaką Poznań posiada, nie mogła w żaden sposób pomieścić w swych murach wszystkich uczestników wiecu, między którymi znaleźli się nawet przybysze z Prus Zachodnich, z Warmii i Górnego Szląska. Wszędzie przeważały sutanny i peleryny, przed któremi nieobecni pospieszyli usprawiedliwić się listownie lub telegraficznie.

Głównie obradowano nad odwołaniem jezuitów, poruszono jednak także sprawę szkolną i społeczną. Załatwiano się z przedmiotami krótko, lecz to dla zgromadzonych zupełnie wystarczało. Pierwszym fachowym referentem był ksiądz dr. Kubowicz; wyliczył on zasługi (?), jakie oddali jezuici Europie a przedewszystkiem polakom (sic), a następnie wymienił tych rzekomo znakomitych mężów, którzy wyszli ze szkoły jezuickiej. Następnie przemówił p. Franciszek Chłapowski i zgromadzenie uchwaliło wysłanie petycyi do parlamentu, aby ten odwołał tak zacną kongregacyę z wygnania, a to już niewątpliwie zapobiegnie wszelkim przewrotom społecznym.

Uchwała w sprawie szkolnej orzekła:

1) że język ojczysty, jako wykładowy, jest jedynym środkiem należytego kształcenia się i rozwoju umysłowego dziecka;

2) że nauka religii w ojczystej tylko mowie wykładana wpłynąć może korzystnie na rozwój religijny i moralny dziecka;

3) że tylko szkoły wyznaniowe dają rękojmię, iż dziecko otrzyma wykształcenie i wychowanie w duchu wyznania, do którego należy.

Obrady zakończono wysłaniem wiernopoddańczego telegramu do papieża.

Petycya owa, o ile dotyczy sprawy jezuickiej, nie zawiera w sobie nic szczególnego, jest nawet bardzo słabą, a mimo to walczą dziś redaktorowie *Dziennika poznańskiego* i *Orędownika* o to, kto może być jej autorem. Pierwszy twierdzi, że on, a nie kto inny, od *a* do *z* ją ułożył i stara się uzyskać poświadczenie na to u komitetu wiec urządzającego, *Orędownik* zaś nie przypuszcza nawet, by coś podobnie mądrego mogło wyjść z łona redakcyi *Dziennika*.

Prócz wiecu w Poznaniu, odbył się także i w Toruniu w obronie jezuitów, a wkrótce odbędzie się ich jeszcze więcej. Czy one odniosą jakiś skutek, nie wiem, raczej sądzę, że nie. O ile znam niemców, przypuszczam, że nienawiść ich do braci stowarzyszenia Jezusowego nie pozwoli im nawet zawahać się w tej sprawie. W Berlinie używają oni jak najgorszej opinii, uważani za intrygantów ostatniego gatunku; uliczniey nawet poczytują przezwisko „jezuita“ za obrazę grubszego kalibru, której w obec sądu skutecznie dochodzić można. Po wiecu poznańskim rozpoczęła się też w Brandenburgii bardzo żywa kontragitacya, która zakończy się także wysłaniem licznych petycyj do parlamentu.

W każdym razie poznańczycy złożyli na wiecu tym namacalny dowód, że dobrze im jest znane przykazanie miłości „kto na ciebie kamieniem, ty nań chlebem.“ Na parę dni przed tem doszło do wiadomości publicznej, że „ksiądz biskup wrocławski, dr. Kopp ukarał surowo na drodze dyscyplinarnej rozmaitych duchownych polskich na Górnym Szląsku za to, iż częścią otwarcie, częścią skrycie wystąpili w sposób stanowczy przeciw jego rozporządzeniom w sprawie nauki szkolnej. Przeciw wszystkim tym krnąbrnym żywiołom duchowieństwa polskiego wystąpi władza biskupia bez pobłażliwości i z jak największą energią. We Wrocławiu spodziewają się, że tym sposobem poskromi książę biskup raz na zawsze opór narodowo-polityczny.“

Wiadomość tę przyniosła zwykle dobrze poinformowana *Saale Ztg*. Biskup Kopp rzucił na żywioł słowiański największy kamień, jaki posiadał w zapasie, odpowiedziano mu na wiecu zaproszeniem do pomocy jeszcze więcej takich, którzy to czynić umieją.

Dalszą zachętą dla urządzających ów wiec był może wypadek, który zdarzył się w Grudziądzu.

Ksiądz dziekan tamtejszy „kapłan ze wszech miar godny poszanowania“ — jak pisze *Dziennik poznański* — zapragnął w parafii swej założyć „Katolickie towarzystwo ludowe.“ W całej jego parafii jest zaledwie 5% niemców, pozostała zaś reszta nie rozumie innego języka, jak polski. Mimo to ów „godny poszanowania kapłan“ wsunął do statutu taki ustęp: „język polski dozwolony być ma wtedy tylko wyjątkowo, gdy udowodniona będzie konieczna tego potrzeba.“ Parafianie oburzyli się na swego „duszpasterza“ i zaraz na pierwszem zebraniu Towarzystwa zażądali dyskusyi w polskim języku. Na to wstał obecny komisarz policyi p. Wichmann i uroczyście oświadczył, że ponieważ o zebraniu powiadomiono policyę w języku niemieckim, zatem obrady na niem toczyć się muszą w tymże języku, przytem on nie umie po polsku i musiałby dopiero przywołać do pomocy żandarma.

Przypuszczam jedną tylko możliwość, tj. ksiądz dziekan kandyduje na jakąś stolicę biskupią i spodziewa się, że rząd dobrze sobie gorliwość jego zanotuje.

Sprawa emigracyjna nie tylko u was jest na porządku dziennym i budzi obawy; ów prąd ogarnął także Poznańskie i Szląsk, a o tyle jest niebezpieczniejszy, że tu niema przymusu paszportowego. Kto chce jechać, potrzebuje tylko wyciągnąć rękę po kartę okrętową, a nieraz nawet i to niepotrzebne, bo licznie po prowincyi kręcący się agenci sami mu ją wcisną. Stąd też pojawiła się już nawet ze strony posłów polskich interpelacya w parlamencie, domagająca się zarządzenia środków przeciwwychodźczych.

Za parę dni wejdzie tutaj w życie nowe stowarzyszenie p. t. Spółka melioracyjna z ograniczoną poręką. Zadaniem jej i celem ma być: 1) drenowanie własności większych i gruntów proboszczowskich, 2) formowanie odrębnych spółek włościańskich w celu drenowania własności małych, 3) zakładanie spółek, gdzie one okażą się możebnemi, 4) odwadnianie i nawadnianie łąk, 5) zaprowadzanie na gruntach murszałych kultur nasypowych, 6) eksploatacya torfu.

Myśl jest zacna, życzymy zatem nowej Spółce szczęścia, oby tylko nie rozbiła się znów o jakiś kant prowincyonalnych ambicyjek!

t. z.

LIBERUM VETO.

Wyprawa do Brazylii. — Pytania, na które pragnęliśmy mieć odpowiedź. — Rezultat badania. — Komunikat ministeryum spraw wewnętrznych. — Otwarte wrota dla filantropii. — Potrzeba wyprowadzenia pokutników z czyśca. — Występy Modrzejewskiej. — Worki miedziaków. — Wodna puchlina naszej literatury. — Wincenty Korotyński we wspomnieniu pośmiertnem.

Kiedy *Kuryer warszawski* doniósł, że do Brazylii wysyła umyślnego delegata dla zbadania głębin tego błotnistego morza, do którego wlewają się rzeki naszej emigracyi, pierwsi daliśmy mu za to poklask, a z jego przedsięwzięcia obiecywaliśmy społeczeństwu wielki pożytek. Naturalnie sądziliśmy, że ta wyprawa nie będzie miała na celu zebrania świeżych wrażeń, opisania nieznanych widoków, zdobycia materyału dla powieści, lecz możliwie najbardziej wyczerpujące rozstrzygnięcie następujących pytań: 1) kto wywołał i w jakim celu tak tłumną emigracyę; 2) na jakiej rachubie spekulacyjnej jest ona oparta; 3) jakim równoważnikiem korzyści materyalnych ma opłacić ofiary poniesione na bezpłatny przewóz wychodźców; 4) jakiemu oni losowi ulegają po przybyciu do Brazylii; 5) co się dzieje z ludnością polską w wilcze doły zwabioną? Z istoty swojej zadanie to nie było turystycznem lub powieściopisarskiem, ale raczej śledczem. Najpomyślniej mógł je rozwiązać reporter w stylu zachodnio-europejskim lub amerykańskim, człowiek pomysłowy, zręczny, bystry, energiczny, niezmordowany, umiejący wynajdywać najpewniejsze drogi i najskuteczniejsze maski. Czy delegat *Kuryera*, znany pedagog i nowelista, posiadał te przymioty — mieliśmy się dopiero przekonać. Wyjechał koleją z partyą emigrantów i przesłał krótką notatkę o ich nastroju. Wyruszył okrętem i doniósł, z czem się wygadali przed nim oficerowie statku. Przybywszy na miejsce, opisał w paru listach, jakie wrażenie zrobiła na niego stolica, jakie spotykał krajobrazy, jak wyglądają rośliny, jak odzywają się ptaki brazylijskie, z jakim trudem chwytał nici badania, jak zawiedzeni wychodźcy przeklinali swoich kusicieli itd. Czytaliśmy te korespondencye w ciągłem oczekiwaniu, że wreszcie nastąpią wyjaśnienia, o które nam głównie chodziło. Tymczasem pewnego dnia *Kuryer* ogłasza, że jego delegat wrócił do Europy, przywiózł z sobą powieść p. t. „Na złamanie karku“ i w rozmowie z redaktorem, który wyjechał na jego spotkanie do Bremy, opowiedział wiele ciekawych rzeczy. Jeżeli to ma być cały rezultat tej wyprawy, to już możemy przejść nad nią do porządku dziennego i zająć się tym materyałem w przedmiocie emigracyi, który nam skądinąd napływa.

Najwięcej promieni światła z listów prywatnych zebrała i na ciemny w swym przebiegu ruch rzuciła *Gazeta warszawska*. Ogłoszone w niej listy wychodźców rozszerzyły znacznie widok tej niedoli, w jakiej znalazły się ofiary łatwowierności i niecnego werbunku. Gdyby sprawy międzynarodowe rozstrzygał nie oręż wojną, ale prawo sądem, fabrykanci tej olbrzymiej sieci, zapomocą której tyle ryb wygarnęli z morza europejskiego na brzeg brazylijski, nie wykręciliby się od kryminału. Bezkarność swoją zawdzięczają oni tylko tej szczególnej naturze stosunków moralnych naszej cywilizacyi, która z wielkich zbrodni zdejmuje wszelką odpowiedzialność. Gdyby Piotr namawiał Pawła do sprzedaży całego mienia za bezcen i zwiódł go obietnicą dobrobytu gdzieindziej, postawiony przed sądem odniósłby karę. Ale gdy gromada Piotrów brazylijskich nakłoni fałszywemi obietnicami dziesiątki lub setki tysięcy Pawłów europejskich do wędrówki za ocean, gdzie zamiast przyrzeczonego raju spotka ich nędza, żadna siła, żadna instancya nie pomści tej strasznej krzywdy. W obecnym wypadku bezkarność wzrasta nadto skutkiem nieuregulowanych stosunków z Brazylią. Niedawno i niezupełnie jeszcze wyszła ona z przewrotu, żadne państwo nie ma w niej swego przedstawiciela politycznego, któryby mógł w jego imieniu upomnieć się o nadużywanie dobrej wiary tłumów, pozostają więc tylko środki zaradcze na miejscu. Władza, prasa, jednostki działają w tym kierunku, ale czyż cała waga starań ma paść tylko na tych, którzy jeszcze nie opuścili kraju? Czy ci, którzy tkwią w matni brazylijskiej, mają być zupełnie opuszczeni, chociaż wołają o ratunek? Otóż pod tym względem znajdujemy w pismach ważny komunikat urzędowy. Czytamy w nim: „Za sprawą wicekonsula ruskiego w Santos kilka rodzin wyprawiono z powrotem do Europy. W stanie Santa Catharina koloniści nie otrzymali obiecanych im działów ziemi i pozostają bez żadnego zajęcia; w stanie Rio Grande do Sue 700 emigrantów mieszka w jednym kościele, który pomieścić może nie więcej, niż 200 ludzi; inni przepę-

dzają noce pod gołem niebem, nie otrzymując żadnego pożywienia i nakoniec część emigrantów wysłano w głąb kraju i pozostawiono ich na pustkowiu, zdala od wszelkich mieszkań, przyczem nie dano im ani narzędzi rolniczych, ani środków do budowli; karmią się oni sucharami, których zapas jest bardzo nieznaczny. Takie ciężkie i bez wyjścia położenie emigrantów ruskich w Brazylii spowodowało, że p. minister spraw wewnętrznych wydał rozporządzenie co do użycia środków *dla ułatwienia podróży chcącym wrócić do kraju.*" Przez otwarte urzędownie wrota może wejść na pole dobroczynności również ofiarność prywatna. Niech każdy z nas co może, poświęci dla ratowania nieszczęśliwych, którzy wyciągają do nas rękę. *Kuryer warszawski*, podejmując tę myśl, robi bardzo słuszną uwagę: „Ponieważ lud ani władzy, ani inteligencyi nie wierzy, więc jedynym środkiem zaradczym przeciwko zgubie tysięcy może być tylko żywa opowieść tych, co już ową ziemię obiecaną poznali." Rzeczywiście, przekonaliśmy się tysiąckrotnie, że wszelkie perswazye ziemian, księży, pism peryodycznych nie łamią wiary naszego ludu w szczęście brazylijskie, ale gdy on wysłucha tych, którzy owego szczęścia skosztowali, którzy wrócili sparzeni lub spaleni w ogniu emigracyjnym, tym świadkom zaufa. Ani wszystkich, ani nawet najbardziej o pomoc błagających nie sprowadzimy, na to nie mamy sił; ale gdybyśmy zdołali uratować tylu, ażeby oni znaleźli się we wszystkich okolicach kraju i wszędzie dowodami swych omyłek i doświadczeń rozproszyli złudzenia emigracyjne, osiągnęlibyśmy bardzo dużo. Do praktycznego wykonania tej myśli wydawałoby mi się stosownem i pożytecznem wciągnięcie warstw, z których łona dobywa się głównie ruch emigracyjny. Zebrawszy fundusz ratunkowy, należałoby go rozdać gminom, z których każda bądź już wie, bądź dowie się o jakimś nieszczęśliwym, pragnącym wrócić do kraju. Niech więc ona (za pomocą odpowiedniego grona osób) sama uzna, komu rękę podać trzeba. Działając zaś w tej sprawie, tem samem uświadamiać sobie będzie kolej i skutki nierozważnego wychodźctwa a zarazem wpływać w swym zakresie na uśmierzenie gorączki. Tak czy inaczej, powinniśmy tego przedmiotu nie spuszczać z uwagi i pamiętać nietylko o tem, że na wiosnę przylecą słowiki, ale także, że odlecą tysiące zbałamuconych.

Najpiękniejszy z naszych ptaków wędrownych, Modrzejewska rozpoczęła swoje występy. Podziwiamy ją, bo jest to artystka znakomita, poetyczna, ale należy także podziwiać tych, którzy jej po każdem przedstawieniu biją krytyczne pokłony. Mnie przynajmniej zawsze oni imponują. Nieraz wychodząc z teatru, myślę sobie: pan X. lub pani Y. grali dobrze, pięknie, świetnie, zwłaszcza w tym lub tym momencie — i zdaje mi się, że w tych paru słowach wyczerpałem wszystko. Tymczasem na drugi dzień widzę zdumiony całe kolumny słów; z których wyciśnięty sens da się również zawrzeć w kilku wyrazach, ale ten obfity sos do kawałka mięsa, ta polewka, ta serwatka stylistyczna — co to za sztuka! Prasa zagraniczna wypłaca nazajutrz aktorom należne uznanie w grubszej monecie— funtach sterlingach, guldenach, papierach wielofrankowych lub markowych, które w niej niewiele zabierają miejsca; nasza musi te większe sztuki rozmienić na najdrobniejsze miedziaki, wsypać je w duży worek i wtedy dopiero obdarowany, dźwigając ten ciężar zdawkowej monety, odchodzi w zadowoleniu i z wiarą, że dostał więcej, niż najznakomitsi jego towarzysze zagraniczni. Gdyby każdy frazes był groszem, Modrzejewska potrzebowałaby osobnego wagonu dla wywiezienia z Warszawy olbrzymiej sumy zachwytów nad jej grą. Bo obliczmy tylko: wystąpi ona razy dziewięć, a podobno więcej; każdy występ oceniony będzie we wszystkich pismach obszernymi artykułami (około 200 wierszy), a ponieważ niektórzy krytycy, oprócz doraźnych sprawozdań, zapowiedzieli jeszcze „obszerniejsze studya," z tego więc źródła wpłynie do prasy naszej około 80,000 wierszy, w których rozpuszczona będzie ta jedna, a od 20 lat znana myśl: Modrzejewska jest wysoce utalentowaną aktorką. Daleko mniej zużył Kopernik na wyłożenie, że ziemia obraca się około słońca i Darwin, że gatunki ulegają przemianie. I jak tu nie podziwiać takiej owadziej płodności w fabrykowaniu słów! To też literatura nasza pęcznieje od sprawozdań teatralnych, a chociaż jej nabrzmiałość nie jest tyciem, lecz wodną puchliną, wygląda jednak okazale.

Stara gwardya dziennikarska straciła mężnego wiarusa. Zmarł Wincenty Korotyński, niegdyś współpracownik *Teki wileńskiej*, następnie wielu pism tutejszych, zwłaszcza zaś *Gazety warszawskiej*, w której był nieocenioną, że tak powiem — inwentarzową siłą. Zmieniali się redaktorowie, on ciągle na miejscu pozostawał, ściśle na miejscu, gdyż nawet w lokalu dziennika mieszkał, sypiał i znaczną część życia przepędził. Kto zna maszyneryę i potrzeby gazety codziennej, ten wie, jaką wartość posiada taki zrosły z nią człowiek, zwłaszcza gdy posiada wiedzę, talent i sumienność. Wiedza Korotyńskiego była nieco jednostronną i nierozciągliwą. Znał wybornie literaturę polską, zwłaszcza w dawniejszych jej okresach, oraz dzieje swojego społeczeństwa, a nietylko znał, ale fanatycznie kochał. Natomiast brakło mu zmysłu do naturalnego pojęcia obcych dorobków cywilizacyi i jej postępu. Wszelkim nowszym i żywszym ruchom myśli przeciwstawiał się z zasady, z nałogu, a gdy nie mógł odmówić im racyi bytu, obniżał ich wartość wyrzeczeniem Salomona: nic nowego pod słońcem, wydobywając jakąś starą książkę i wskazując w niej coś, co wytwarzało pozór podobieństwa i poprzednictwa. Posiadał on umysł natury rabinicznej, umysł teologa, zatopionego w księgach świętych, który wierzy i głosi, że w tych arkach złożona została już dawno cała mądrość ludzka, wypowiedziano wszystko, co rozum ludzki pojąć zdolny. Jeżeli gdzie, to w dziennikarstwie, szybko unoszonem na falach postępu, taki duch stężały, w pewnych formach skrzepły, w nieruchomości zamiłowany, nie był powołany do wywarcia wpływu głębokiego, zwłaszcza gdy go nie ożywiał ognisty temperament. Korotyński też poprzestał na szeptaniu swojego *liberum veto*, do którego *Gazeta warszawska* zachęcała go dawniej swym konserwatywnym charakterem, ale jednocześnie powstrzymywała akademickim tonem. Gdyby nawet czasem się roznamiętnił, nie mógł podnieść wysoko głosu tam, gdzie wszyscy w sprawach drażliwych cicho mówili. Tę wadę równoważył on jako dziennikarz wielką, a dla nas szczególnie ważną zaletą: pięknie, nieraz wytwornie, a zawsze czysto pisał po polsku. Był to owoc jego talentu, ale zarazem wynik jego miłości dla języka, w którego urokach się rozkochał i którego barwy umiejętnie zużytkowywał. W prasie naszej nie ma pięciu ludzi, którzyby tak pisali, jak Korotyński. Dziś zapanowała w niej jakaś gwara Babelu, jakaś wstrętna mieszanina francusko - niemiecko - polska, jakieś niechlujstwo stylistyczne, które pozwala czerpać z każdego słownika i używać wszelkiej składni. A jeżeli *Gazeta warszawska* wyróżnia się pod tym względem uderzająco od swych sióstr zaniedbanych, używających międzynarodowego żargonu, z pewnością zawdzięcza to w znacznej mierze Korotyńskiemu, który ją codzień przez długi szereg lat jako korektor oczyszczał ze skażeń, nalotów, zbrudzeń, a tą robotą innym dawał przykład wielkiej dbałości o formę pisarską. Jako człowiek — nie znaliśmy go osobiście — według zdania swych towarzyszów pracy zasłużył na to, ażeby jego trumnę ozdobiono również wieńcem szacunku. Utuliła go do snu wiecznego ziemia, którą jak matkę kochał.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Rachunek sumienia ziemiańskiego: Czeladź dworska w Lubelskiem i Radomskiem. — Moja odezwa. — Odwrotna strona „wolnej umowy." — Swojska pijawka. — Która rada lepsza?—Upadek resursy w Lublinie.

Skrucha społeczna, raz zdjąwszy pod naciskiem emigracyi sumienie ziemiańskie, nie przestaje otwierać łona gospodarki folwarcznej i wystawiać na światło dzienne niektórych stosunków służby dworskiej. Prasa prowincyonalna znowu dorzuciła nieco cyfr odnośnych do wiecznie ubogiej naszej statystyki. Dzięki temu dowiadujemy się, że np. w okolicach Wojsławic parobek dworski przeciętnie bierze pensyi w gotowiźnie rs. 18 (rocznie) i ordynaryi zboża korcy 12, nadto, dostaje ziemi pod kartofle prętów 180. Na nim też spoczywa obowiązek utrzymania t. zw. „posyłki," tj., chłopaka lub dziewki do posług dla dworu. „Posyłka" otrzymuje nadto płacę, normowaną stosownie do pory roku według płac najemnika. Parobek bez posyłki pobiera tylko 8 korcy ordynaryi i 120 prętów ogrodu. Nie trzymanie jednak posyłki należy prawie do wyjątku. Ordynarya składa się z 4 korcy jęczmienia, 5 żyta, gryki 1½ i grochu 1½. W odleglejszych stronach, ku południowi, parobek otrzymuje nadto 1 lub 1½ korca pszenicy, w okolicach jednak Wojsławic, jak twierdzi korespondent *Gazety lubelskiej*, zwyczaju tego nie dostrzegł w żadnem doniesieniu. Obowiązkowa praca parobka latem zaczyna się o wschodzie słońca, a kończy o zachodzie z godziną przerwy w porze obiadowej; zimą o 7 rano do zachodu z taką samą pauzą. Ceny najemnika za pracę w polu lub w stodole są następujące: Od 1 listopada do 1 kwietnia — mężczyzna 15 kop., kobieta 12½, wyrostek 10; do 1 lipca — mężczyzna 20, kobieta 15, wyrostek 12½; do 1 września mężczyzna 30, kobieta 25, wyrostek 20; do 1 listopada — mężczyzna 25, kobieta 20, wyrostek 15. Na podstawie tych faktów odważa się korespondent twierdzić, że położenie parobka dworskiego „nie jest opłakane," chociaż uprzedza, że w takich warunkach nie może on najmniejszej kwoty odłożyć i przez to samo na starość, jeśli go dzieci nie przygarną, staje się żebrakiem. „Ostatecznie, posuwając oszczędność i gospodarność do wysokiego stopnia — powiada korespondent — mógłby odłożyć 10 do 15 rs. rocznie (pobierając sam 18 rs. i ordynaryi tyle co potrzeba?)." Prostota ducha autora tak daleko sięga, że jedyną przeszkodę upatruje on w nieregularności wypłat ze strony dworu. Niewypłacalność szlachecka z innego względu jest plagą czeladzi dworskiej: popycha ją w objęcia lichwiarzy wiejskich. Ona to była sprawczynią zajść, które miały przed paru laty miejsce w Tomaszowskiem, gdzie kilka wsi urządziło formalne bezrobocie właścicielom większym, którzy z tego powodu musieli sprowadzać do robót polnych wojsko.

Takiem jest położenie robotnika dworskiego w Lubelskiem (a słuszniej jeszcze, w pewnej tylko okolicy lubelskiego). Przejdźmy w Radomskie i zobaczmy, jak ta sama sprawa wygląda na folwarku p. Fr. K. „Karbowy. Rodzina liczna — ojciec, matka, siedmioro dzieci. Córka najstarsza za mąż wydana, za fornala w tym samym dworze, w którym (fornal) jest na ordynaryi. W domu rodzice i sześcioro dzieci, ojciec i mają po czterdzieści kilka lat. Syn 21 lat w domu; córka 19 lat w domu i trzy córki małe w wieku od 12 do 6 lat. Ojciec rodziny pracuje we dworze na utrzymanie tej rodziny i pobiera rocznie 7 korcy żyta, 4

korcc jęczmienia, korzec grochu, korzec hreczki i pół korca pszenicy. Na kartofle dostaje morgę 200 pręt. ziemi nawożonej (pszeniczyska), z której zbiera przeciętnie od 40 do 50 korcy kartofli. Na kapustę, fasolę dostaje 4 zagony ziemi, zagony po kilkanaście prętów długości. Dwie krowy na dworskiej karmie, z trzody chlewnej może trzymać parę sztuk i dostaje plewy na karmę dla nich. Ma mieszkanie, złożone z jednej większej stancyi i komory (spiżarni) z opałem, i pobiera wreszcie pensyi rocznej 25 rs. Troje starszych dzieci wychodzi na zarobek do dworu i rocznie zarabiają rs. 120.“

Pan Fr. K. na podstawie przeciętnej rynkowej wartości ordynaryi i dodatków oblicza, iż w pieniądzach wyniesie to 138 rs., co razem z rocznym zarobkiem uczyni 258 rs. Jest to więc roczne utrzymanie rodziny karbowego. „Rodzina ta — powiada p. Fr. K. — średnio pracowita, latem i zimą cało odziana, względnie karmiona znośnie: *kartoflami, kluską, kaszą* z dodatkiem mleka, słoniny i *chlebem*. Zamożność tej rodziny średnia, w domu czysto i schludnie, dzieci drobniejsze czysto i zawsze cało odziane. Głodu i nędzy w domu nie ma nigdy. Owczarz w tymże dworze (rodzina siedmioosobowa, troje dzieci starszych zarobkuje we dworze) z chłopcem 14-letnim do pomocy, pobiera żyta korcy 9, jęczmienia 6, grochu 2, pensyi 35 rs. Całoroczne jego utrzymanie wynosi 275 rs., prócz morga 300 pręt. pod kartofle.

Wszystkie cyfry powyższe dotyczą robotnika z licznem rodzeństwem. Parobek zupełnie bezdzietny trzyma dla posługi swojej i dla zarobku dziewkę; pobiera rocznie 6 korcy żyta, 4 jęczmienia; 1 grochu. Pod kartofle dostaje trzy ćwierci morga 200 pr., z której zbiera przeciętnie 25 korcy. Jedną krowę ma na dworskiej karmie, pensyi 18 rs. rocznie, reszta dodatków ta sama, co u pierwszej kategoryi najmity dworskiego. Żona z dziewką najemną zarabiają 60 rs. Utrzymanie więc roczne tego parobka wynosi 150 rs.

Dane powyższe p. Fr. K. uważa nie tylko za pewne i nie mogące nic stracić na sprawdzeniu, ale nawet, jako przeciętne z kilku lat ostatnich — za typowe nietylko dla jego folwarku. „Bez zaprzeczenia, powiada on, życie rodziny parobka w takich warunkach, nie będąc świetnem, jest do tyla znośnem, że nigdy nie graniczy z niedostatkiem. Dla tego też rodzina parobka nie jest niczem znaglona do szukania na niepewno chleba za murami, a jeżeli wychodzi, to tylko z fałszywego namówienia. W naszym powiecie radomskim, a nawet w gubernii radomskiej, nie słyszałem o wychodźtwie ludu wiejskiego.“ Nie wątpię ani na chwilę, że tak jeden korespondent jak drugi tym jawnym obrachunkiem dostatecznie uspokoili swoje sumienie, nie mam też możności sprawdzenia cyfr podanych — za mało ich jeszcze — ale powinienem wyrazić życzenie, żeby ci z ziemian, których tak samo zastrasza widmo wychodźtwa, póki jeszcze nie zupełnie ulegli samolubstwu swojej grupy, zechcieli zeznaniami własnemi o stosunkach folwarcznych rozproszyć choć w części gęsty mrok, pokrywający tę dziedzinę życia społecznego na wsi.

Korespondent *Gazety radomskiej* odsłonił mechanizm, stosowany w niektórych fabrykach łódzkich względem najmity, którego pracodawca chce się pozbyć. Nie zawsze „głowie“ produkcyi wygodnem jest brać na się rolę inicyatora w wypowiedzeniu „rękom“ — pracy. Ucieka się więc do bardziej niewinnego i przyzwoitego środka, naturalnie, o ile ten ostatni wolny jest od kontroli inspektora fabrycznego, mianowicie, zniża zarobki „do możliwie niższej, niewiarogodnej stopy tygodniowej.“ Korespondentowi stopa ta wydaje się niewiarogodną dlatego, ponieważ zapewne mało jest obeznany z dziejami stosunku kapitału do pracy, znajdującej się jeszcze (szczególnie u nas) w tym smutnym okresie, gdy „prawo spiżowe“ zarobków nie utraciło nic ze swojej potęgi i gniecie ją bezopornie...

„Tkacz fabryczny — powiada on — z otrzymanej gotowej już przędzy na warsztacie mechanicznym wytwarza tkaninę, ilością której warunkuje się rozmiar dziennego zarobku, obliczanego podług umówionej normy za każdy łokieć (?) lub arszyn (?) wyrobionej tkaniny. Przy normalnej zręczności i pracowitości robotnika wzmiankowana ilość wyrobionej tkaniny zależną jest od rodzaju i dobroci otrzymywanej przędzy, zły gatunek której, spowodowywując zrywanie się nitek w czasie procesu tkania mechanicznego, nie dozwala wyrobić żądanej ilości tkaniny i zarobek robotnika, niezależnie od sumiennej i umiejętnej pracy, do bardzo nizkiego sprowadza poziomu. Zniechęcony i pozbawiony możności zarobkowania, robotnik sam pierwszy zrywa umowę i ustępuje z fabryki, aby gdzieindziej lepszego szukać sobie zarobku. W jednej z większych fabryk tutejszych (Siller i Bielszowski) zarobek niektórych tkaczy, wskutek dawania im starej, zleżałej lub przegniłej przędzy, zredukowano do 1 rs. 50 kop. tygodniowo, zarobek zaś dziewczyn i kobiet, zatrudnionych ecrowaniem i wykończaniem chust wełnianych, nie przewyższał sumy czterech rubli na dwutygodniową wypłatę.“

Korespondent *Gazety* zna *liczne* fakty, gdy *wyjątkowo* wysoki trzynastorublowy zarobek dziewczyny uszczuplono o kilka rubli dlatego, że wydawał się zbyt wygórowanym. System ten podobno ma licznych zwolenników w sferze chlebodawców łódzkich. Kroku im dotrzymują inne „pijawki.“ Niejaki Otto Dominik, czeladnik kowalski z fabryki Mannberga i Goldamera, zapragnął „odebrać żydom ich odwieczne prawa do bankiersko - lichwiarskich spekulacyj wśród klasy roboczej“ — przy pomocy kilku kolegów założył „kasę pożyczkową,“ do której ubóstwo najmickie obfitą zniosło daninę. Chęć niepodzielnego posiadania tego łupu tak rozzuchwaliła tego rybaka mętnych wód, że wkrótce potem zawiesił czynność kasy i odmówił wspólnikom zwrotu złożonych bez prawnych rewersów pieniędzy. Źródło, z którego czerpiemy tę wiadomość, nic nie mówi o tem, czy ten „aryjski“ lichwiarz poczuł na sobie ramię sprawiedliwości.

Żeby urwać łeb w zarodku temu złu, *Gazeta radomska* radzi najemnikom łódzkim stworzenie instytucyi, „opartej na drobnych wkładach tygodniowych.“ Osiągnęłaby ona aż dwa cele: „zapobiegłaby wyzyskowi lichwiarstwa i skłaniała robotnika do oszczędności.“ Odkryła ona już nawet pod tym względem (samopomocy najmickiej) „instynktowe tendencye“ w postaci kas pogrzebowych, przez samych robotników zakładanych, lecz z powodu „utrudnień prawnej natury“ rozwiązanych przed kilku miesiącami. Owszem, co do mnie, pod jednym względem zgodziłbym się na taką „samopomoc“: gdyby instytucya owa, „oparta na drobnych wkładach,“ chociażby miesięcznych, miała na celu *poskramianie* wszechwładzy „prawa spiżowego“ zarobków. Która rada lepsza?

Z widnokręgu życia towarzyskiego w Lublinie zeszła tameczna resursa kupiecka. „Przybył p. policmajster miasta z komisarzem cyrkułowym — opowiada *Gazeta lubelska* — i zawezwawszy członków zarządu, odczytał im rozporządzenie naczelnika gubernii, w którem powiedziano, że z powodu nieprzyjęcia, pomimo określonego terminu, zatwierdzonej w roku ubiegłym przez ministra spraw wewnętrznych ustawy normalnej, obowiązującej kluby w Królestwie Polskiem, resursa dalej istnieć nie może.“

Spisano protokół i wzięto od członków zarządu deklaracyę, że zebrań w lokalu swoim nadal nie będą urządzali.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Liczba robotników fabrycznych w Tomaszowie rawskim skutkiem zastoju zmniejszyła się w ostatnich czasach z 8,000 na 6,000.

— *Tydzień* piotrkowski pisze: „Wina minionego bezrobocia kilkodniowego w kopalni „Niwka,“ jak wyjaśniło śledztwo, ciąży w zupełności na poprzednim zarządzie von Kramsty, który poczynił pewne oszczędności ze szkodą górników, o czem nowy zarząd wiedzieć nie mógł. Winny zatajenia tego przed nowym zarządem i podejrzany o złą wiarę nadsztygar Heinzel, pełniący rolę zawiadowcy robót w kopalni „Niwka,“ został usunięty a na miejsce jego powołano inżeniera Karwasińskiego z kopalni „Mortimer.“

— W okolicach Zamościa włościanie coraz więcej zakupują folwarków do parcelacyi. Podobno sprzedaż dóbr przy pomocy Banku byłaby częstszą, gdyby nie stały na przeszkodzie służebności, które trudno uregulować nawet przy sprzedaży folwarków włościanom.

— Francuskie Towarzystwo budowy domów dla robotników otworzyło filie w sześciu miastach. Towarzystwo filantropijne dostarczyło funduszów na budowę pierwszego domu modelowego; plac pod drugi ofiarowała kolej Orleańska. Kilka banków będzie udzielać pożyczki na 3%.

— Spółka ziemska na wzór poznańskiej powstała w Toruniu.

— Francuska Izba deputowanych uchwaliła ustawę o pracy fabrycznej kobiet i dzieci, opartą na zasadzie dziesięciogodzinnego dnia pracy i jednego dnia wypoczynku w tygodniu.

— Dn. 7 b. m. ogłoszono w Wiedniu wyrok w sprawie wadowickiej: Klausner skazany na półtora roku więzienia, Herz na dwa, Loewenberg i Neuman na trzy, Wasserberg i Ehrlich na rok, Iwanicki na szesnaście miesięcy. Kostecki i Księżarczyk uwolnieni.

— W Celynii od kilku tygodni panuje wielka nędza głodowa. Wiele osób umarło. Klęska powstała skutkiem przerwania komunikacyi z powodu zasp śnie[illegible].

— W Anglii fundusz społeczny, zbierany przez wodza „armii zbawienia“ generała Booth, wynosi już 95,000 fun. szt. Zakładanie nowych instytucyj zaczyna on od domu mieszkalnego w Londynie dla 200 osób. Przytułek w dzielnicy Sporedlich pomieści 400 mężczyzn, a tak zwana brygada bramy więziennej zatrudni w warsztacie 50 osób. Plan różnych instytucyj filantropijnych rozciągnięty jest oprócz Londynu na inne większe miasta.

— W Berlinie socyaliści wnieśli do parlamentu projekt ustawy, kładącej tamę dalszemu ściganiu sądowemu przestępstw, popełnionych podczas obowiązywania ustaw wyjątkowych przeciw socyalistom.

Wychodźctwo. Według danych urzędowych, w r. z. przybyło do Oświęcima z zamiarem emigrowania do Ameryki ogółem 5,294 osoby: z Galicyi 4,248, z Bukowiny 63 i z Węgier 983. Z liczby tej wrócono z drogi dla braku odpowiednich dowodów lub dostatecznych środków na podróż 1,141 ludzi.

— Według doniesień z Krakowa, wychodźctwo do Brazylii nie ustaje. Tamtejsze władze policyjne codzień prawie powstrzymują całe rodziny włościan, zamierzających bez pieniędzy i dowodów dostać się za ocean.

— *Gazeta lwowska* podaje znamienny przykład wyzysku wychodźców. Przed kilku dniami niejaki Mendel Brek, szewc z Liska, przybył do Krakowa z sześcioma osobami z pow. liskiego. Wychodźcy ci oraz dwaj inni, którzy jeszcze nie zdążyli tam przybyć, zapłacili w Lisku Izaakowi Aromowi, krawcowi tamtejszemu, wspólnikowi Breka, każdy po 17 złr. od osoby, czyli razem 136 złr. od ośmiu za odprowadzenie tylko koleją do Oświęcima, za dalszą zaś podróż do Berlina zobowiązali się oddzielnie zapłacić. Policya aresztowała oszustów.

Sprawy kolejowe. Znowu poruszono sprawę skupienia w rękach rządowych taboru ruchomego na wszystkich kolejach. Odbędzie się to stopniowo, przez częściowe zamienienie w miarę zużywania ich starego [illegible].

— Piąty zjazd przedstawicieli kolei, odbywający się obecnie w Moskwie, postanowił zniżyć cenę biletów dla robotników o 30 — 40% taryfy dotychczasowej. Ulgi takie mają być wprowadzone także na statkach parowych.

— *Peterb. Wied.* donoszą, iż podczas ogólnej rewizyi taryf kolejowych będą znacznie podwyższone opłaty od przedmiotów zbytku, a zniżone od przedmiotów

pierwszej potrzeby. Wszystkie towary kolonialne, produkty gastronomiczne, owoce zagraniczne i wina będą przewożone według najwyższych taryf; chemiczne, potrzebne do produkcyi technicznej, według taryf zniżonych na niektórych liniach, a podwyższonych na innych. Dla wyrobów żelaznych i stalowych — taryfy niższe, oprócz sprężyn, szaf ogniotrwałych itd. Dla węgla kamiennego taryfa jednostajna w stosunku 1/65 kop. od puda i wiorsty. Od rozmaitych narzędzi i maszyn taryfy będą podwyższone z wyjątkiem rolniczych, od których opłata przewozowa zniżona będzie o 25%. Podwyższona również będzie opłata od margaryny i cerezyny, tudzież wszelkich produktów i surogatów, współzawodniczących z naturalnymi produktami. Natomiast zniżone: od przedmiotów, potrzebnych w ogrodnictwie i produktów wymagających szybkiej dostawy, od lnu, konopii i innych produktów wewnętrznych.

— Zniżenie ceny biletów pasażerskich na kolejach niemieckich będzie znaczne. Osoby jadące trzecią klasą płacić mają tylko po 2 fen. za kilometr. Za to zniesione będą bilety powrotne i wolny bagaż.

Szkoły. Komisya szkolna ukończyła swe prace. Zwracała ona głównie uwagę na trudności przy wprowadzeniu nowych programów w wykładzie języków starożytnych. Według nowych planów nauka tych przedmiotów powinna się zasadzać głównie na czytaniu autorów starożytnych i tłómaczeniu ich na język wykładowy. Wobec stosowania ćwiczeń piśmiennych w kl. VIII i zniesienia przepisu na mocy którego szematy egzaminów piśmiennych były przysyłane z okręgów naukowych, komisya uznała za niezbędne ustanowić ćwiczenia piśmienne przy promowaniu z kl. VI do VII, przy czem roboty uczniów powinny być składane w okręgu naukowym do przejrzenia.

— Komitet zakładu sierot-chłopców przy ul. Freta w Warszawie postanowił otworzyć filię w nowonabytej kolonii Drewnica pod Warszawą, w której znaczna część wychowańców znajdzie odpowiednie pomieszczenie i naukę. Niektórzy właściciele majątków ziemskich dowiedziawszy się o tem, udali się do zarządu zakładu z gotowością przyjęcia do siebie starszych chłopców, w celu kształcenia ich w gospodarstwie.

— W Warszawie — jak zapewnia *Kuryer warsz.* wkrótce otwarta będzie szkoła języków obcych wzorowana na innych tego rodzaju zakładach w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nowa metoda polegać ma na usunięciu gramatyk i wszelkich podręczników. Na początek wykładane będą: francuski, niemiecki i angielski. Koncesyę na tę szkołę otrzymał p. Berger.

Wiadomości administracyjne. Ponowiono przepisy, obostrzające w Warszawie działalność kantorów stręczeń służących, oraz wydano rozporządzenie, ażeby faktorzy pod żadnym pozorem nie zajmowali się rekomendacyą sług.

— Na żądanie p. oberpolicmajstra wszyscy właściciele lombardów prywatnych zobowiązali się do zniżenia procentu do 5% (zamiast 7—8%). Według rozpowszechnionego już w sferach ministeryalnych „projektu reformy, lombardu nie wolno zakładać w pobliżu fabryk i zakładów przemysłowych. Utrzymujący potajemne lombardy będą skazywani na bardzo wysokie kary, a zastawione rzeczy zwracać muszą ich właścicielom.

Komunikacye. W kwietniu rozpoczęte będą prace wstępne, mające na celu połączenie kanałem Dniepru z Dźwiną Zachodnią. Studya już ukończono. Kanał pójdzie od Witebska w kierunku Orszy. Koszt obliczono na 10,000,000 rs.: 8 mil na kanał, 2 na regulacyę koryta obu rzek. Prace ukończone będą ostatecznie w r. 1894; poczem możliwą będzie komunikacya towarowa i osobowa bezpośrednio pomiędzy morzami Bałtyckiem i Czarnem. Niema tylko mowy o tem, jak się usunie przeszkoda ważna: „porohy" dnieprowe?

Przemysł i handel. Kilka zakładów ogrodniczych w Warszawie utworzyło spółkę p. n. „Flora," w celu otwarcia sklepów z kwiatami i warzywami.

— W Tomaszowie zamknięto fabrykę sukna G. Szulca. Straciło zajęcie 100 robotników.

— W Hamburgu z powodu braku węgla stanęło 40 fabryk.

Wystawy. Magistrat berliński uchwalił 100,000 marek zasiłku dla tegorocznej międzynarodowej wystawy sztuki.

— Na wystawie elektrotechnicznej we Frankfurcie w r. b. będzie osobny oddział zastosowania elektryczności do marynarki wojennej.

— Na wystawie przemysłowej w Petersburgu postanowiono nagradzać rzemieślników, którzy pracowali nad wykonaniem jej okazów.

— Koleje rządowe zapewniły bezpłatny przejazd powrotny od 21 b. m. do 22 marca osobom, przyjmującym udział w wystawie lnu w Smoleńsku. Również zapewniono bezpłatny przewóz okazów z wystawy.

— Redakcya *Wszechświata* zaprojektowała urządzenie wystawy wynalazków. Obecnie wiele osób przyrzeka poparcie, a p. Wł. Marconi, budowniczy, i p. Jasiewicz, zamieszkały w Paryżu, nadesłali kilka broszur specyalnych.

— Wystawa przedmiotów, dotyczących hygieny dziecinnej i wychowania dzieci otwarta będzie w Medyolanie w pierwszych dniach maja r. b.

Wypadki. W Belgii wylewy wód poczyniły spustoszenia. Niektóre przedmieścia Brukselli są zalane.

Na pomnik Moniuszki. Mierzwiński z urządzonego koncertu, w którym sam wziął udział i który naturalnie miał świetne powodzenie, zebrał po strąceniu wydatków 2,400 rs.

Zmarli. Amadeusz Millet, w Paryżu; malarz i rzeźbiarz.

— Zofia Kowalewska, profesorka matematyki w uniwersytecie Sztokholmskim, z pochodzenia rosyanka. Literaturę specyalną zbogaciła kilku cennemi pracami. Liczyła zaledwie 38 lat wieku.

— Delaplanche, w Paryżu; rzeźbiarz.

— Elie Berthet, w Paryżu; powieściopisarz.

— Emil Blauvert, w Brukselli; popularny barytonista.

— Karol Cristofari, w Rzymie; kardynał, biegły prawnik; w r. 1838 wydał tablice synopyczne prawa kanonicznego podług metody Devotiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani Maryi Ol. Dopóki pisma otwierać będą, p. C, swe kolumny dla pisania reklam — niema na to rady. Rzucanie grochu na te ściany byłoby bezskutecznem.

Dr. Łuk. w Jassach. Pieniędzy nie odebraliśmy, *Prawdę* na tych samych warunkach wysyłać będziemy, książki jeszcze nie wyszły.

Panu W. Ł. z pod Skierniewic. Na rozumowanie pańskie w żadnym punkcie zgodzić się nie możemy. Strata majątku nie jest ani dowodem uzdolnień, ani tytułem do zasługi, ani prawem do wyższego stanowiska bez obowiązku przebywania niższych szczebli. Niech zbankrutowani ziemianie wchodzą do Towarzystwa, nic przeciw temu nie mamy, ale na zwykłych warunkach jego służby urzędniczej, nie wskakując odrazu na wyższe stopnie. Jeżeli „prawie cała prasa" oburzyła się na ten fakt, a w znacznej części schlebia ona szlachcie, to dowód, jak postąpienie było gorszącem. Co do emigracyi, inna kwestya, czy kłoś może dać parobkowi pewną sumę pieniędzy i korcy zboża, a inna — czy to wynagrodzenie jest wystarczającem. Myli się Pan w swem twierdzeniu o „krukach i padlinie." Gdyby syn pański nie uczył się, nie pracował, marnotrawił mienie, gromiłbyś Pan go daleko surowiej, niż swego siostrzeńca, bratanka lub obcego człowieka. Podobnie jeszcze pewna część prasy surowiej sądzi ziemian naszych właśnie dlatego, że im dobrze życzy i nie może patrzeć obojętnie, jakimi są obywatelami kraju.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 1 Февраля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.